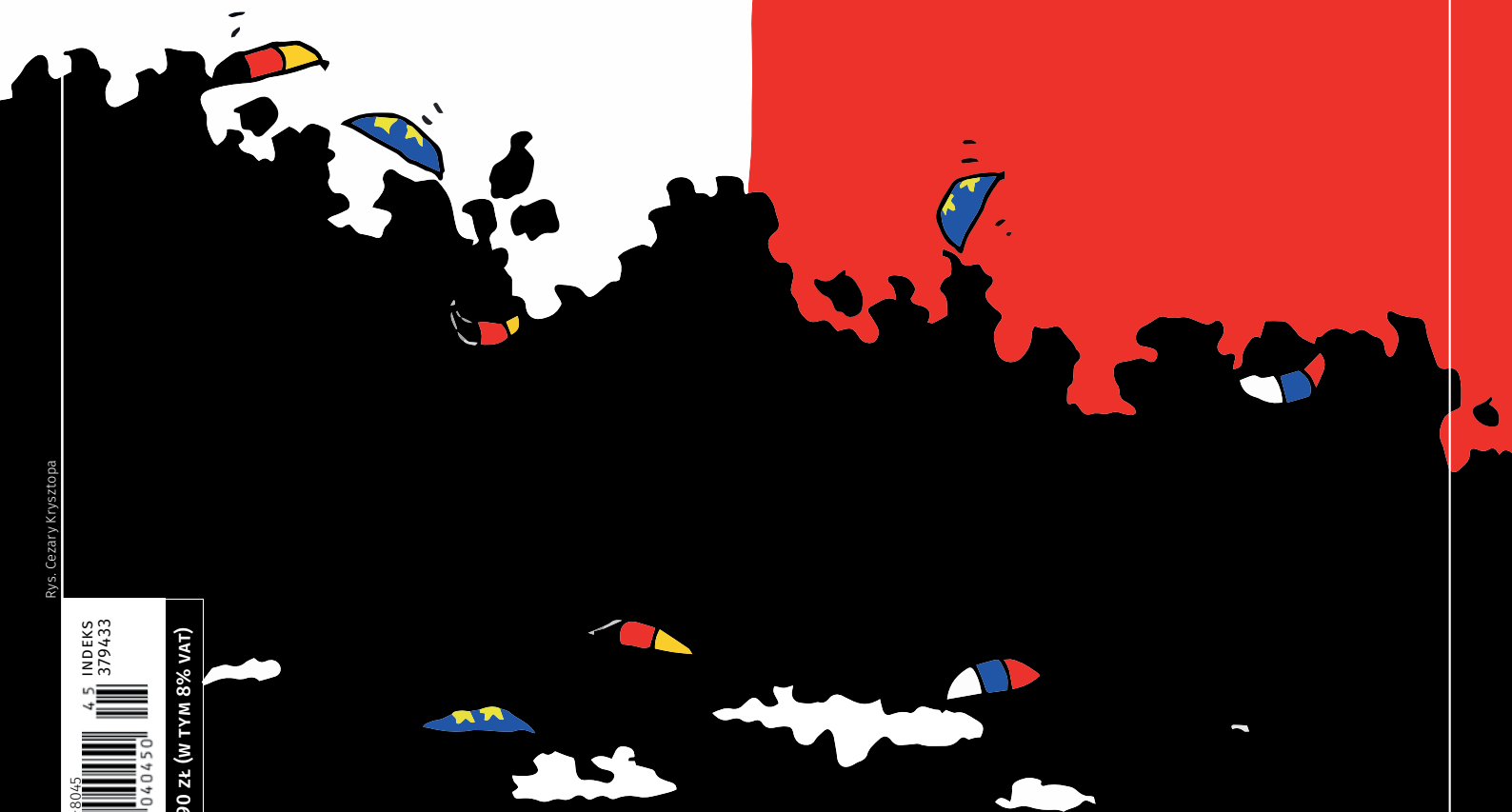
NR 45 (1918) 11 LISTOPADA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

NIEPODLEGŁA
ale czy suwerenna?



Rys. Cezary Krysztopa

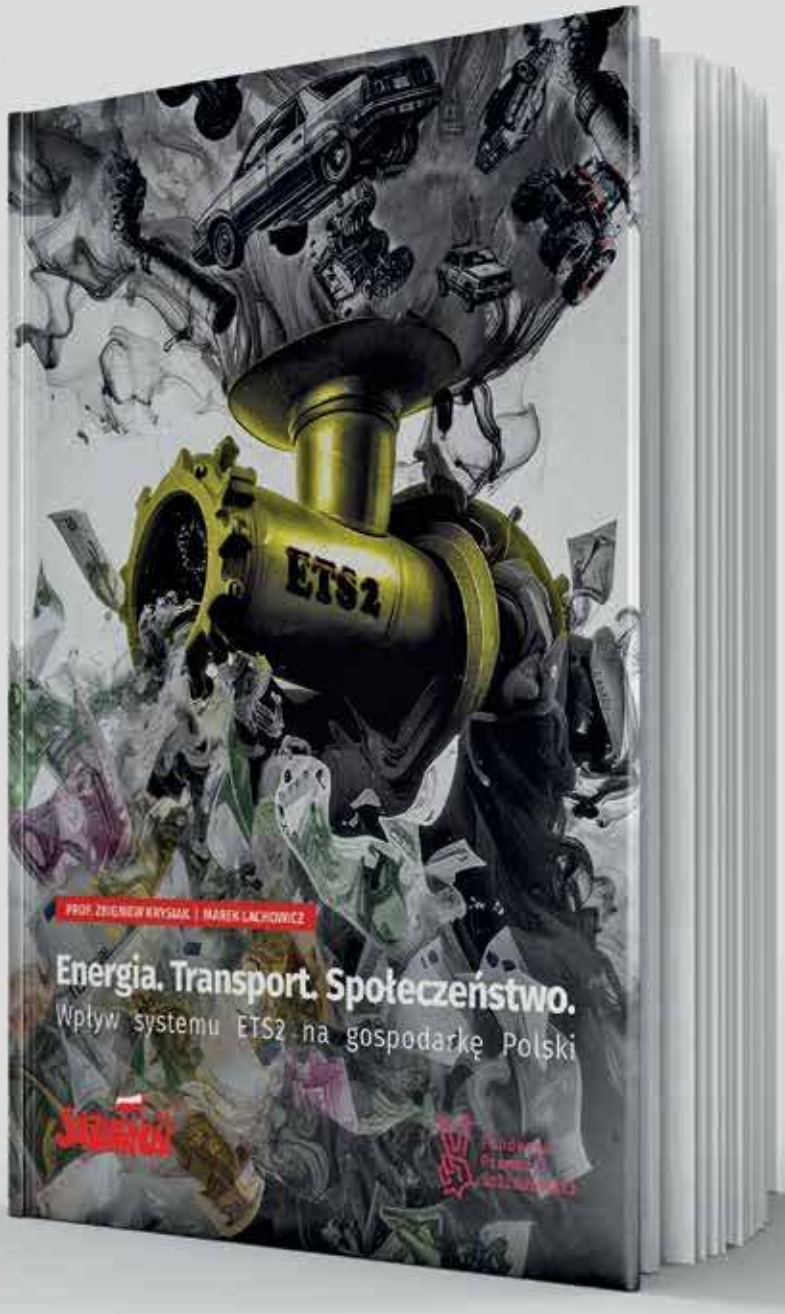
ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (w tym 8% VAT)

TYSOL.PL

- POLITYCZNA BITWA NA POMIDORY
- NAJSŁYNNIEJSZY KOŃ II RZECZYPOSPOLITEJ

NAJNOWSZY

raport NSZZ „Solidarność”



Do kupienia na:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl e719c8288f



Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Czy Polska wciąż jest państwem suwerennym, czy już tylko prowincją Unii Europejskiej zarządzaną z Brukseli i Berlina? O naszych podatkach, energetyce i gospodarce decydują dziś nie polscy obywatele ani parlament, lecz unijni urzędnicy, którzy pod hasłem „zielonej transformacji" narzucają rozwiązania grożące zrujnowaniem naszego przemysłu i zubożeniem społeczeństwa. Zielony Ład i system ETS2 stały się symbolem nowego porządku, w którym interes Polski liczy się mniej niż ideologiczne ambicje europejskich elit.

ETS2, czyli rozszerzenie handlu emisjami CO_2 na transport prywatny i ogrzewanie domów, to w praktyce nowy parapodatek, który dotknie każdego kierowcę i każdą rodzinę. Premier Donald Tusk ogłosił z dumą, że jego wprowadzenie zostało „zawieszone" – ale to nie jest cała prawda. Bruksela dała Polsce rok oddechu, po czym i tak wprowadzi system, który podniesie ceny paliw, energii i ciepła. To nie jest kompromis – to odroczony wyrok na polską gospodarkę. Rok później te rozwiązania nie będą miały mniej destrukcyjnych skutków. Tak samo wpłyną na każdego z nas.

Zielony Ład stał się w ostatnich latach instrumentem dominacji najbogatszych krajów Unii. Coraz wyraźniej widać, że Polska ma być zredukowana do roli płatnika. Za rozwiązaniami wprowadzanymi przez UE nie stoi troska o środowisko, ale chęć ekonomicznej i ideologicznej kontroli.

Zagrożenie suwerenności Polski nie ogranicza się do kwestii gospodarczych i politycznych. Jak pisze Mariusz Staniszewski, unijne instytucje coraz odważniej sięgają po władzę w sferach zarezerwowanych dla państw narodowych. Prokuratura Europejska (EPPO) zajmuje się kwestiami dotyczącymi polskich samorządowców, a Komisja Europejska bez wahania blokuje fundusze, wymuszając określone decyzje polityczne.

Unia coraz mniej przypomina wspólnotę równych narodów, a coraz bardziej centralizowane imperium, w którym decyzje zapadają ponad głowami obywateli. Dla Polski oznacza to powolne przesuwanie granic suwerenności.

Powinniśmy zdecydowanie przeciwstawiać się za każdym razem, gdy ktoś chce odkroić nam choćby kawałek naszej suwerenności.

107 lat temu Polska odzyskała niepodległość. Nadal musimy o nią dbać. Dlatego zamiast dyskutować o datach, jak premier Donald Tusk, i czekać na kolejne „wytyczne" z europejskiej centrali, powinniśmy zdecydowanie przeciwstawiać się za każdym razem, gdy ktoś chce odkroić nam choćby kawałek naszej suwerenności.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl e719c8288f

11.11.2025
WYDANIE Nr
45

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Czy Polska jest suwerenna?



6 „Państwo Europejskie”: projekt, strach i półprawdy

10 Gdy niemożliwe jest koniecznością

14 Suwerenna, czyli jaka?

18 Czy już jesteśmy prowincją UE?

22 Suwerenność to także infrastruktura i transport. Rozmowa ze Z. Jasińskim

KRAJ

Bitwa na pomidory 26
Gotowi na cyrograf, by obalić Tuska 30
2029, czyli strach 34
Wołyń na Powązki. Rozmowa ze Z. Żurowskim 38

GOSPODARKA

La Casa de Solidarność 42

ZAGRANICA

Naftoruble w stolicy Eurolandu 46

SPOŁECZEŃSTWO

Trzeba mieć mentalność wolnego człowieka. Rozmowa z prof. G. Łęcickim 50

KULTURA

Redaktor despota 54

HISTORIA

„Poważna i dostojna Pani Kasztanka”, czyli najsłynniejszy koń II Rzeczypospolitej 62

ZWIĄZEK

Co w związku 66
Ratyfikacja ZEKS – impuls do lepszej ochrony pracowników. Rozmowa z prof. M. Wujczykiem 68

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 21
PŁUŻAŃSKI 41
GAC 49
MAŁKOWSKA 61

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 9
KARUZELA Z BLOGERAMI 25
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 58
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 71
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus, tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka 52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl e719c8288f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Rafał Woś

Suwerenność is back

Pamiętam, jak w latach 90. media III RP kładły mi do głowy przekonanie, że polska suwerenność jest czymś, co należy przezwyciężyć. Trzeba ją przebić i odrzucić zupełnie tak, jak gąsienica porzuca swój brzydki kokon i wylatuje z niego jako piękny motyl. Dokładnie tak samo młode pokolenie ludzi wychowanych już w warunkach „wolnej Polski" miało zostawić za sobą cały ten balast polskości i ulecieć ku radosnej nirwanie eurointegracji. Tam zaś rozpłynąć się na dobre.

Jakież jest więc dziś zdziwienie (i wściekłość) wielu kultywujących ten sposób myślenia środowisk opiniotwórczych, gdy raz po raz okazuje się, że kolejne pokolenia Polek i Polaków wcale nie chcą gremialnie odpuścić tematu polskiej suwerenności. Mało tego, wielu młodych rodaków nie ma żadnego problemu z ostrą krytyką Unii Europejskiej jako organizacji uzurpującej sobie prawo do faktycznego narzucania krajom członkowskim swojej woli w stopniu wykraczającym poza granice łamania suwerenności. Dla starszego i powoli schodzącego ze sceny pokolenia „ojców i matek" III RP takie postawy młodych są szokujące. Nie tak to przecież miało wyglądać.

Tymczasem pytanie o polską suwerenność pada przecież wcale nie rzadziej – tylko raczej coraz częściej. Ludzie (głównie młodzi) pytają, czy jakiś pozbawiony demokratycznego mandatu sędzia europejskiego trybunału ma w ogóle prawo, by decydować o tym, jakie elektrownie w Polsce mogą, a jakie nie mogą działać. Albo który projekt infrastrukturalny ma zostać wstrzymany, a który nie? Albo czy Komisja Europejska powinna mieć prawo narzucania rządom krajowym, jak będzie wyglądała polityka migracyjna demokratycznego państwa? I co zrobić w sytuacji, gdy demokratycznie wybrany rząd w Polsce, Czechach, na Słowacji albo gdziekolwiek indziej dojdzie do wniosku, że nie odpowiada mu kształt transformacji energetycznej czy wspólnej polityki rolnej przeforsowany przez Brukselę?

Wszystkie te pytania są realne i stawiamy je przecież w przestrzeni publicznej od wielu miesięcy. I będziemy nadal stawiać, bo mam wrażenie, że kwestia suwerenności Polski w relacjach z UE będzie coraz bardziej porządkować polską scenę polityczną. Będzie ją coraz mocniej dzielić na tych, którzy uważają, że (z różnych przyczyn) suwerenność jest passé. Oraz tych, którzy upierają się, że jednak trzeba o nią walczyć. I że być może jest to we współczesnej postnowoczesnej polityce ostatnia (i jedyna) wielka idea, o którą warto walczyć.

Nie wiem, kto w tym starciu wygra – choć wydaje mi się, że powinni wygrać ci drudzy, bo jest ich (na oko) więcej niż tych pierwszych. Pewne jest tylko, że suwerenność (jako temat politycznego sporu) triumfalnie powróciła. Jest to oczywiście związane z poczuciem jej (suwerenności) zagrabienia, uwiądu i obiektywnego braku. To całkiem tak jak ze zdrowiem u poety. Tego, co to pisał, że: „Nikt się nie dowie,/ Jako smakujesz,/ Aż się zepsujesz".

eprasa.pl e719c8288f

Temat Tygodnia

„PAŃSTWO EUROPEJSKIE”: projekt, strach i półprawdy

Przekształcenie Unii Europejskiej w państwo związkowe to **realny scenariusz** mający swoich orędowników i niosący poważne ryzyko dla suwerenności Polski. Problem w tym, że towarzyszące mu legendy i uproszczenia paradoksalnie osłabiają jego wiarygodność w oczach opinii publicznej. Zamiast rzeczowej debaty temat ten bywa spychany do towarzystwa „foliowych czapeczek”.

Ludwik Pęzioł



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e719c8288f

W 2021 roku instytucje Unii Europejskiej zainicjowały tzw. Konferencję w sprawie przyszłości Europy, w której udział mieli wziąć także „zwykli obywatele UE", zgłaszając swoje propozycje zmian i reform. Zwieńczeniem tego procesu był obszerny raport, w wielu punktach zmierzający do dalszej centralizacji Unii i upodobnienia jej do organizmu quasi-państwowego. Znalazły się w nim m.in. postulaty wspólnej polityki energetycznej, gospodarczej, migracyjnej i edukacyjnej, a także odejścia od jednomyślności na rzecz większości kwalifikowanej przy podejmowaniu decyzji.

To właśnie ten dokument stał się punktem wyjścia dla obecnych propozycji zmian traktatowych, które na osi „organizacja międzynarodowa – państwo europejskie" wyraźnie przesuwają Unię w stronę tego drugiego bieguna. Cały proces miał sprawiać wrażenie obywatelskiej inicjatywy – jakoby to sam „lud Europy" domagał się głębszej integracji, a przywódcy unijni jedynie wsłuchiwali się w jego głos. W rzeczywistości jednak skład uczestników konferencji był politycznie niereprezentatywny, a jej przebieg – podporządkowany środowiskom prointegracyjnym z Brukseli. Dyskusje i panele miały charakter fasadowy, nie odzwierciedlając rzeczywistych opinii mieszkańców Unii.

Pozór szerokiego poparcia dla centralizacji został jednak wytworzony. Jeśli dołożymy do tego inne sygnały, jak: wpisanie do umowy koalicyjnej niemieckiego rządu z 2021 roku postulatu przekształcenia UE w państwo związkowe, próbę wykorzystania ataku Rosji na Ukrainę do centralizacji, motywując to wzmocnieniem europejskiego bezpieczeństwa, czy otwarte poparcie tej idei przez takich polityków jak Martin Schulz, Matteo Renzi czy Guy Verhofstadt, a nawet całe europarlamentarne frakcje – widać wyraźnie, że w strukturach Unii istnieje silne stronnictwo konsekwentnie dążące do stworzenia z Unii czegoś w rodzaju „Stanów Zjednoczonych Europy".

„Unia Niemiecka"

Same, dobrze udokumentowane argumenty przeciwko centralizacji Unii Europejskiej mają wystarczającą moc przekonywania, a dokładanie do nich tez „naciąganych" tylko im szkodzi. Często nie wynika to jednak ze złej woli czy ignorancji, lecz z politycznej pragmatyki. Przykładem może być popularna w Polsce narracja, według której integracja europejska to w istocie pokojowa operacja budowy „IV Rzeszy".

Z punktu widzenia partii politycznych takie ujęcie ma pewną użyteczność: pozwala krytykować centralizację Unii bez przyjmowania otwarcie antyunijnego tonu, który odstraszyłby wciąż licznych wśród Polaków euroentuzjastów. Łatwiej więc przedstawić projekt centralizacji jako przykrywkę dla niemieckiej dominacji – zwłaszcza że Niemcy wciąż budzą niechęć w starszym, bardzo licznym elektoracie. Problem w tym, że osoby mające do Niemiec stosunek neutralny lub pozytywny, nie kupują narracji o „Unii Niemieckiej". Oba stanowiska, zarówno ignorowanie zagrożenia, jak i przekonanie o niemieckim spisku, są uproszczone i nie oddają rzeczywistej dynamiki integracji.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy wykorzystują Unię Europejską do realizacji własnych interesów, nierzadko kosztem innych państw. Robi to jednak każdy uczestnik wspólnoty – tyle że Niemcy jako kraj najsilniejszy gospodarczo są w tym najskuteczniejsze. Z drugiej strony, teza o „Niemieckiej Unii" całkowicie pomija istnienie innego, kluczowego aktora: rozrastającej się eurokratycznej kasty, działającej przede wszystkim we własnym, urzędniczym interesie. To właśnie eurokraci: urzędnicy, komisarze, doradcy i eksperci instytucji unijnych – są głównym motorem centralizacji. W ich oczywistym interesie leży powiększanie własnych kompetencji, rozszerzanie obszarów decyzyjnych i podporządkowywanie kolejnych sfer życia publicznego ich zarządzaniu. Wielu z nich szczerze wierzy w ideę federalnej Europy: w przekonanie, że głęboka integracja ma chronić kontynent przed przyszłymi wojnami, wzmacniać jego globalną pozycję względem USA i Chin oraz przygotować go na cywilizacyjne wyzwania XXI wieku.

ŁATWIEJ PRZEDSTAWIĆ PROJEKT CENTRALIZACJI JAKO PRZYKRYWKĘ DLA NIEMIECKIEJ DOMINACJI – ZWŁASZCZA ŻE NIEMCY WCIĄŻ BUDZĄ NIECHĘĆ W STARSZYM, BARDZO LICZNYM ELEKTORACIE. PROBLEM W TYM, ŻE OSOBY MAJĄCE DO NIEMIEC STOSUNEK NEUTRALNY LUB POZYTYWNY, NIE KUPUJĄ NARRACJI O „UNII NIEMIECKIEJ".

eprasa.pl e719c8288f

Obok tej ideologii działa jednak także mechanizm czysto materialny i polityczny: korzyści płynące z samego bycia częścią unijnej machiny. W rezultacie eurokraci stają się w dużej mierze grupą autonomiczną wobec rządów narodowych, przedkładającą interes Unii nad interes państwa swojego pochodzenia. To właśnie ta ponadnarodowa lojalność czyni z nich nowy typ władzy w Europie – władzy, która nie reprezentuje żadnego konkretnego narodu, lecz samą siebie. Taki obraz rzeczywistości jest oczywiście bardziej złożony i mniej efektowny niż prosta wizja „niemieckiej Unii". Nic więc dziwnego, że wielu publicystów i polityków woli tę drugą: łatwiejszą do sprzedaży wyborcom i publice, bardziej emocjonalną i natychmiast zrozumiałą.

„Unia Komunistyczna"

Jeszcze większą przeszkodą w przekonaniu umiarkowanych obserwatorów życia publicznego stanowi rozpowszechniona teoria o Unii Europejskiej jako projekcie państwa komunistycznego. Sama ta teza jest wewnętrznie sprzeczna: komunizm, w klasycznym rozumieniu Marksa i jego następców, wiązał się przecież m.in. ze zniesieniem państwa, a nie jego rozbudową. Trudno więc utrzymywać, że współczesna biurokracja unijna dąży do celu całkowicie sprzecznego z jej naturą i interesem. Załóżmy jednak, że operujemy w potocznym rozumieniu pojęcia „komunizm".

Źródłem tego mitu jest tzw. Manifest z Ventotene spisany przez włoskiego działacza Altiera Spinellego w czasie II wojny światowej. Dokument rzeczywiście zawierał elementy idealistycznej wizji „europejskiej komuny": wspólnoty ponad narodami, opartej na solidarności i zniesieniu egoizmów narodowych. Na tej podstawie niektórzy publicyści budują dziś narrację, jakoby współczesna Unia była próbą wcielenia w życie jego marzeń z młodości. Wzmacnia to symboliczny fakt, że czołowi europejscy politycy odwiedzali wyspę Ventotene, oddając hołd pamięci Spinellego.

A jednak ta teoria nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Po pierwsze, grupa spinellistów w Parlamencie Europejskim wcale nie jest dominującą siłą. Choć promuje wizję eurofederalizmu, to w realnej polityce unijnej znacznie większy wpływ mają dziś liberałowie, umiarkowani socjaldemokraci czy nawet konserwatyści. Eurokomnizm jest więc jednym z nurtów ideowych, ale nie stanowi rdzenia unijnego projektu. Po drugie, należy rozróżnić młodzieńczy komunizujący idealizm Spinellego od jego późniejszych poglądów. W dojrzałym okresie życia autor Planu Spinellego z 1984 roku postulował powołanie federacyjnego państwa europejskiego, pod względem gospodarczym będącego jednak kontynuacją EWG co do zasadniczych jej fundamentów, a więc z zachowaniem gospodarki rynkowej, konkurencji i własności prywatnej. Nie ma tam śladu marksistowskiego zniesienia klas czy likwidacji własności środków produkcji. Późny Spinelli był raczej socjalliberałem z federalistycznym zacięciem niż rewolucjonistą. A wyspa Ventotene miała dla jego współczesnych zwolenników znaczenie raczej symboliczne: jako akt sprzeciwu wobec nacjonalizmu, faszyzmu i wojen, nie zaś jako program budowy „komunizmu". Chyba że rozszerzymy pojęcie „komunizmu" do tego stopnia, że obejmie ono wszelkie formy interwencjonizmu, biurokracji czy społecznej równości, to rzeczywiście można w ten sposób „udowodnić" wszystko, co się chce.

Warto też zadać pytanie o samą metodę interpretacji: dlaczego mielibyśmy zakładać, że o poglądach człowieka w późnych latach życia decydują jego młodzieńcze fascynacje? Gdyby konsekwentnie stosować tę zasadę, musielibyśmy uznać, że polska scena polityczna pełna jest „ukrytych" korwinistów, maoistów, anarchistów czy libertarian, bo wielu polityków w młodości deklarowało podobne poglądy. Życiowe doświadczenie zwykle jednak łagodzi skrajności, także u dawnych ideowych eurokomunistów.

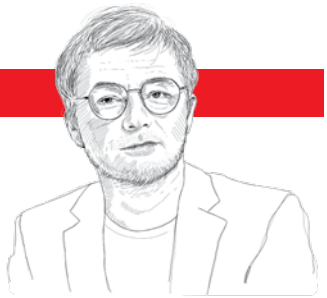
Współcześni zwolennicy „państwa europejskiego" nie marzą więc o wspólnocie klasowej czy gospodarce w pełni centralnie sterowanej, a nowy „lud europejski" – oparty jest dla nich na wartościach takich jak tolerancja, inkluzywność, ekologizm czy wielokulturowość. Można (i należy) się z tym projektem spierać, wskazując jego destrukcyjne skutki społeczne, ale nie sposób mylić go z komunizmem w tradycyjnym sensie. To zupełnie inny projekt cywilizacyjny: miękki, biurokratyczny i postnarodowy, nie totalitarny.

> WSPÓŁCZEŚNI ZWOLENNICY „PAŃSTWA EUROPEJSKIEGO" NIE MARZĄ O WSPÓLNOCIE KLASOWEJ CZY GOSPODARCE CENTRALNIE STEROWANEJ.

Czy suwerenność Polski jest więc zagrożona? Oczywiście, że tak. Jednak apokaliptyczne wizje oparte na swobodnym „łączeniu kropek" i selekcji faktów do z góry założonej tezy wcale nie zwiększają naszych szans na uniknięcie tego scenariusza. Przeciwnie – osłabiają powagę argumentów i zniechęcają tych, których jeszcze można przekonać. Nie potrzeba teorii spiskowych, by dostrzec realne zagrożenie. Wystarczy wsłuchać się w to, co prominentni przywódcy Unii Europejskiej mówią otwarcie i co zapisują w oficjalnych dokumentach. Już samo to wystarczy, by zrozumieć, że potrzeba oporu wobec centralizacji nie jest przejawem paranoi, lecz zdrowego instynktu państwowego.

eprasa.pl e719c8288f

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Polski wróg nr 1? Rzeczpospolita

Jan Wróbel

Z okazji naszego narodowego święta postanowiłem wygarnąć politykom KO i PiS, dlaczego uważam ich za szkodników. Nie wszystkich, jasna sprawa, ale wystarczająco wielu, by wygarniać en masse, a nie ad hoc.

Otóż nie buduję swojej niechęci na zauważalnie kiepskich wynikach działań KO czy PiS. To tak, jakby mieć pretensje do polskiej reprezentacji piłkarskiej, że gra raczej słabo, a w porywach średnio. Cóż zrobić, piłka nożna jest grą zespołową. Nie dość, że nie wszyscy piłkarze naszej drużyny są dobrzy, to na dodatek nie mają specjalnie czasu, aby z kilkunastu graczy zrobić wyszkoloną pięść. A w demokracji, zwłaszcza w jej współczesnej neurotycznej odmianie, na jakąś pracę „od przedszkola do Opola", na jakieś mozolne budowanie rozumiejącej się drużyny czasu brak jeszcze bardziej niż podczas zgrupowań kadry narodowej. Wiem, że przy odrobinie dobrej woli można znaleźć dobre posunięcia PiS, a nawet i KO. Na ogół chodziło w nich jednak o jakieś wydanie dużych pieniędzy w prosty sposób i z widocznym rezultatem. Natomiast przygotowanie ram działania długofalowego mocną stroną naszej polityki nie jest i nie będzie. Można było wprowadzić „500 plus" albo babciowe. Nie można było sprawić, aby bocian przydźwigał do Polski więcej dzieci. Dało się kupić najdroższe czołgi świata. Nie dało się utkać z firm prywatnych i państwowych spójnie działającego sektora. I tak dalej...

Pogodziłem się z tym. SOR, atom, szkoły zawodowe, system podatkowy, sądy i transparentność nominacji będą, jakie były. To wszystko zagadnienia bardzo złożone – i politycy będą je omijać szerokim łukiem. Jakość „piłkarzy" jest, jaka jest, i żaden „Lewandowski" nic tu nie pomoże. A ewentualna wielka personalna zmiana przyniesie właśnie taką zmianę – personalną, ale nie systemową.

Pretensje mam natomiast o to, że główne partie naszej demokracji, łącznie z ich rozemocjonowanym zapleczem, bezceremonialnie promują antypaństwowy egoizm. Te wszystkie nieprzyjmowania medali od „złego" prezydenta, te wszystkie lamenty, że Polska jest właściwie okupowana... Te brednie o kraju z kartonu (bo nie my rządzimy), o dyktaturze dławiącej wolność (no raczej, bo nie my rządzimy), o faszyzacji kraju... Te kłamstwa o agentach, o wyprowadzaniu Polski z Unii Europejskiej, o polityce dyktowanej przez Berlin. Nawet szkolne przedmioty potrafią być „nasze" albo „wasze".

> GŁÓWNE PARTIE NASZEJ DEMOKRACJI, ŁĄCZNIE Z ICH ROZEMOCJONOWANYM ZAPLECZEM, PROMUJĄ ANTYPAŃSTWOWY EGOIZM.

Nawiedzony bełkot niesie się po internecie bardzo dobrze i nawet dobrze się sprzedaje podczas wyborów – co mimochodem tłumaczy, dlaczego w Polsce ciągle mamy kampanię wyborczą. Zrównuje jednak miłość do kraju z chęcią zdeptania okupanta, czyli KO bądź PiS. Autorzy, a chyba trafniej powiedzieć sprawcy, wiecznego stanu wzmożenia stawiają sprawę jasno. Nie ma wspólnej Rzeczypospolitej, jest tylko nasza, ogrodzona murem Polska, której zaciekle trzeba bronić przed jej odwiecznym wrogiem, innymi Polakami.

eprasa.pl e719c8288f



Gdy niemożliwe jest koniecznością

Proj. A.Ch.

Powiedzmy sobie uczciwie: ta sprawa wydaje się coraz bardziej beznadziejna, a każdy dzień oddala od nas dobre zakończenie. Równocześnie jednak spełnienie warunku niemożliwego do realizacji wydaje się dziś jedyną nadzieją na uratowanie choćby **szczątkowej** suwerenności Polski i resztek bezpieczeństwa jej obywateli w wymiarze ekonomicznym, energetycznym, a być może również militarnym.

Krzysztof Karnkowski

Łatwo napisać, trudniej zrobić, bo jak przy dzisiejszym poziomie wzajemnych emocji, niechęci, pretensji i sprzeczności programowych miałoby dojść do porozumienia Prawa i Sprawiedliwości z Konfederacją, a być może nawet Konfederacją Korony Polskiej?

W czasie kampanii prezydenckiej, gdy otoczenie Karola Nawrockiego starało się walczyć o głosy z rosnącym w sondażach Sławomirem Mentzenem, wielu komentatorów obawiało się możliwego skrętu PiS w kierunku liberalnym. Kandydat na prezydenta sporo mówił choćby o blokowaniu podwyżek podatków, a przed drugą turą podpisał punkty podsunięte przez Mentzena. Wątki bardziej liberalne pojawiały się w wypowiedziach takich polityków, jak Przemysław Czarnek czy Tobiasz Bocheński, a wcześniejsza kampania przed wyborami prezydenta Warszawy prowadzona przez tego ostatniego sprawiła, że pewna grupa bardziej prosocjalnych wyborców PiS ze stolicy była nawet bliska oddania głosu na Magdalenę Biejat. Dopiero niedługo przed pierwszą turą wyborów następcy Andrzeja Dudy podczas wiecu na pl. Zamkowym mocniej wybrzmiał przekaz bliski klasycznego, socjalnego oblicza Prawa i Sprawiedliwości. Równocześnie za gwarancję zachowania kierunku wyznaczonego w kwestiach społecznych przez Dudę można było

eprasa.pl e719c8288f



uważać porozumienie, które Karol Nawrocki zawarł z NSZZ „Solidarność". Nie bez powodu jednak również na tych łamach apelowaliśmy o to, by PiS nie ulegało swoistej „libkizacji". Po wyborach jednak pomimo dalszego wzrostu znaczenia Konfederacji w sondażach, a Sławomira Mentzena w Konfederacji, ze strony kierownictwa partii Jarosława Kaczyńskiego padły konkretne deklaracje wskazujące na różnice w podejściu do wielu kluczowych spraw ze wschodzącymi gwiazdami prawicy wolnorynkowej. We wrześniu sam prezes PiS ostrzegał, że realizacja liberalnego programu ugrupowania Mentzena doprowadziłaby do rozpadu Polski. Wcześniej w sierpniu podczas spotkania w Białymstoku Kaczyński podkreślał, że „nie może być tak – bo to jest nie tylko niesprawiedliwe, niegodne moralnie, ale to jest także skrajnie niebezpieczne dla społeczeństwa – jeżeli nożyce dochodów się tak bardzo rozwierają. Jeżeli powstaje grupa o gigantycznych dochodach, a inni z kolei żyją w biedzie. My takiej Polski nie chcemy. To pan Mentzen takiej Polski chce".

Spory wewnątrz i na zewnątrz

Konfederacja, a wcześniej środowiska, które ją stworzyły, nie były jednolite i różniły się w wielu kwestiach. Ruch Narodowy uważany był za bardziej socjalny od ludzi Janusza Korwin-Mikkego, którzy dziś tworzą Nową Nadzieję. Na płaszczyźnie polityki społecznej to z narodowcami PiS mogłoby więc szukać porozumienia, choć po stronie samych narodowców nie brak od kilku lat głosów, że część środowiska współtworząca dziś Konfederację zbyt mocno dała sobie wejść na głowę kolegom wolnościowcom. O tym, że mamy do czynienia z grupą mocno niejednolitą, którą tylko bardzo płytka analiza sondażowa traktować może jak monolit, mówi nam historia początków ugrupowania. Wśród założycieli obecne były środowiska, od dawna już tam nieobecne, od Liroya po Kaję Godek. Mało kto pamięta też, że gdy konfederaci po raz pierwszy weszli do Sejmu pod nowym sztandarem (część z nich w 2015 roku znalazła się już w parlamencie dzięki udziałowi w szybko topniejącym klubie ruchu Pawła Kukiza), istniała realna groźba, że stworzą oni nie jedno, a dwa koła parlamentarne. W bieżącej kadencji doszło do kolejnego podziału, gdy po ogłoszeniu startu Mentzena od partii oddzieliło się skrzydło

eprasa.pl e719c8288f

Grzegorza Brauna. Braun nie tylko nie poparł Mentzena, ale wystartował samodzielnie i zdobył bardzo dobry wynik wyborczy. Pamiętajmy też, że reprezentanci Konfederacji podzielili się również w Parlamencie Europejskim. Nie znaczy to oczywiście, że należy wypatrywać rozpadu Konfederacji lub wręcz go prowokować. Nie zapominajmy po prostu, że decyzje mogące łączyć się z dużą odpowiedzialnością polityczną, takie jak zawarcie koalicji z ugrupowaniem, z którym któryś z odłamów dzieli bardzo wiele, mogą być dla spójności całego ruchu zabójcze.

Protokół rozbieżności

Spór między PiS i Konfederacją ma oczywiście charakter głęboki, wielowątkowy i historyczny. Choć jeszcze kilka lat temu można by wręcz widzieć w nim przedłużenie przedwojennych podziałów, przenoszonego w kolejnych pokoleniach sporu Piłsudski – Dmowski, sanacja – endecja, jak jednak opisuję w poprzednim akapicie, sprawa jest bardziej skomplikowana. Konfederaci z grupy Mentzena zarzucają PiS ciągoty socjalistyczne, a wszyscy mają pretensje o brak asertywności w relacjach z UE od przyjęcia traktatu wersalskiego do kwestii KPO i Zielonego Ładu, przy czym liczne tłumaczenia PiS i osobiście premiera Mateusza Morawieckiego rozbijają się o ścianę. I choć wiele z zarzutów zostało już obalonych na poziomie szczegółowym, nie tylko we wpisach w mediach społecznościowych i oświadczeniach, lecz także podczas debat (jak debata Mateusz Morawiecki – Krzysztof Bosak, która odbyła się w zeszłym roku, czy niedawne „piwo z Mentzenem", również z udziałem byłego premiera), powracają one niemal codziennie w wypowiedziach działaczy i sympatyków Konfederacji. Są jeszcze inne wbijające się klinem między partie sprawy. To polityka sanitarna z czasów pandemii, która elektryzuje głównie elektorat Grzegorza Brauna, ale i wielu sympatyków Konfederacji Bosaka i Mentzena do dziś nie otrząsnęło się z tej traumy. Warto zresztą zauważyć, że o podtrzymanie tej emocji, dla wielu osób niewątpliwie autentycznej (choć też dla wielu, zwłaszcza po upływie pięciu lat, zupełnie już niezrozumiałej), dba pokaźne grono ewidentnie zadaniowanych internautów, którzy w 90% swoich przekazów powielają wprost narracje Koalicji Obywatelskiej, by co kilka wpisów zaatakować PiS z prawej strony, bez silenia się na spójność przedstawianych treści. Podobny mechanizm działa również w kwestii wsparcia dla Ukrainy, które również podzieliło PiS i Konfederację, przy czym tu do czynienia mamy z całym wachlarzem postaw, od bezrefleksyjnie wręcz proukraińskiej, już zresztą zanikającej, do wręcz prorosyjskiej, przedstawianej przez niektóre osoby z otoczenia Grzegorza Brauna czy wciąż przecież będącego punktem odniesienia dla wielu osób Janusza Korwin-Mikkego.

Długi marsz

Kampania wyborcza Karola Nawrockiego do pierwszej tury oparta była na rywalizacji o elektorat kandydatów prawicy, przed drugą turą stając się przykładem trudnej, lecz budującej współpracy. Jak już wspomniałem, nie przełożyło się to na dalszą współpracę zwaśnionej wcześniej prawicy i Prawa i Sprawiedliwości, które nie przez wszystkich za prawicę jest uważane. Mentzen wielokrotnie w ostrych słowach atakował prezesa PiS, a ten, jak wiemy, nie był mu dłużny. Pałac Prezydencki wciąż jednak pozostaje wyłączony z tego sporu, a prezydent ma szansę zostać ojcem, jeśli nie szerokiego porozumienia na całość wyborów parlamentarnych, to już paktu senackiego prawicy – o wiele prędzej. Badania pokazują, że o ile rozbita na dwie lub trzy listy prawica nie ma żadnych szans na senacką większość, przy wystawieniu wspólnych kandydatów może liczyć na ponad połowę mandatów. Jak się podzielić? To pozostaje do decyzji prezydenta i liderów, być może jakimś kluczem powinny być wyniki poszczególnych kandydatów z pierwszej tury wyborów prezydenckich, na przykład przyznanie Konfederacji (lub Konfederacjom, jeśli pakt obejmie KKP) tych okręgów, w których Mentzena (lub Mentzena i Brauna) dzielił najmniejszy dystans do Nawrockiego. Karol Nawrocki od początku był kandydatem skrojonym pod zdobywanie

BRAUN NIE TYLKO NIE POPARŁ MENTZENA, ALE WYSTARTOWAŁ SAMODZIELNIE I ZDOBYŁ BARDZO DOBRY WYNIK WYBORCZY. REPREZENTANCI KONFEDERACJI PODZIELILI SIĘ RÓWNIEŻ W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM.

eprasa.pl e719c8288f

szerszego niż sama baza PiS społecznego poparcia. Sztuka ta udała mu się w wyborach, a co więcej – pomimo ciągłych ataków udaje mu się utrzymywać, a wręcz poszerzać grono sympatyków. Pierwszym patronem porozumienia, choćby i w skali minimum, może być więc prezydent Karol Nawrocki. Są i inne punkty zaczepienia. Jest nim m.in. Marsz Niepodległości, na który pomimo kilku niepotrzebnych zaczepek działaczy Ruchu Narodowego wybierają się prezes PiS i wielu polityków tego ugrupowania. Zwolennicy są tam od prawie zawsze, a przynajmniej odkąd jest to impreza rozpoznawalna i znana na całą Polskę. Od lat na marszach są też obecne Kluby „Gazety Polskiej", a w tym roku patronem medialnym wydarzenia będzie między innymi Telewizja Republika. Ta sama, w której w wielu programach publicystycznych spotykają się posłowie obu partii. Republika, również przy okazji marszu, stać się może kolejną płaszczyzną porozumienia. Ciekawą rolę może też odegrać często obecny na antenie tej stacji Marek Woch – polityk, który w trakcie wyborów sympatii zdobył dużo więcej niż głosów, jako pierwszy poparł Karola Nawrockiego przed drugą turą, a dziś nawiązał współpracę z Grzegorzem Braunem. Oczywiście bardzo wiele zależy od tego, jak marsz przebiegnie w tym roku, jakie będzie zachowanie służb i czy nie dojdzie do prowokacji, być może obliczonych również na skonfliktowanie poszczególnych uczestników.

Ważne i ważniejsze

Nie ma co ukrywać, że większość tekstu poświęconego potencjalnej współpracy sił mogących stanowić przeciwwagę dla Koalicji Obywatelskiej zajmuje wyliczenie protokołu rozbieżności. Jak dotąd, z wyjątkiem sporadycznych deklaracji poszczególnych posłów, atmosfera między poszczególnymi partiami mogącymi stworzyć ten dość egzotyczny sojusz się zagęszcza. KO niewątpliwie na tym korzysta, ponieważ będąc najsilniejszą partią w przyszłym skłóconym Sejmie, może rozdawać karty. Nie sposób nie zauważyć, że dawny dogmat, że z PiS nie można wchodzić w żadne koalicje, różnymi sposobami próbuje zaszczepić również po prawej stronie. Do tej pory trafiało to na podatny grunt, ponieważ – jak mówił na swoim kanale Mentzen – koalicjanci PiS kończą na ogół źle. Pomijając bardziej absurdalną część jego zarzutów (lider Nowej Nadziei prezesa PiS obarczył odpowiedzialnością za śmierć Andrzeja Leppera czy raka Zbigniewa Ziobry), dziś widać dobrze, że i konszachty z Platformą okazują się dla mniejszych partii bardzo kosztowne. PiS i obie Konfederacje dzieli bardzo dużo, a i pomiędzy ludźmi Mentzena i Brauna mamy sporo pretensji. Nie można jednak zapominać o tym, że alternatywa może być gorsza od najbardziej nawet trudnej do posklejania koalicji, ponieważ rząd Tuska demoluje dosłownie każdą dziedzinę życia. Świadomość tego jest na szczęście dla wszystkich graczy wspólna. Pamiętajmy wreszcie, że po kolejnych dwóch latach działań liberałów wahadło społecznych oczekiwań i potrzeb może wychylić się w inną stronę, a wtedy każdy chcący objąć władzę będzie musiał przyjąć ten fakt do wiadomości. Mamy wreszcie całą, kluczową dla naszego funkcjonowania sferę unijnych ingerencji w polską gospodarkę i porządek prawny. A tu, jak się zdaje, mamy dziś pełną zgodę, by zatrzymać groźne dla Polski działania. Z Platformą, jak by się za dwa lata nie nazwała, nie da się zatrzymać ani Zielonego Ładu, ani ETS2, ani kolejnych pomysłów. Właśnie teraz Unia oficjalnie wyznaczyła sobie za cel emisję 90% CO_2, a minister Urszula Sara Zielińska, od której rząd oficjalnie się odcinał, okazała się osobą najlepiej poinformowaną i najbardziej decyzyjną. Z kolei kilka dni temu w potężnej demonstracji śląskich związkowców wzięli udział politycy Konfederacji Korony Polskiej, a z drugiej strony wsparła ich była premier Beata Szydło. W pamiętnej demonstracji związkowców i rolników spacyfikowanej przez policję zimą ubiegłego roku również wzięli udział posłowie PiS i Konfederacji, jedni i drudzy upominali się też o pokrzywdzonych protestujących i nagłaśniali w mediach przypadki policyjnej przemocy. W poszczególnych sprawach możliwe jest więc współdziałanie. Wiele wskazuje na to, że potrzebne ono będzie też w sprawach zasadniczych. Z wielu powodów to trudna do przyjęcia perspektywa, cóż jednak przyjdzie zrobić, gdy alternatywa będzie dużo, dużo bardziej dramatyczna?

ALTERNATYWA MOŻE BYĆ GORSZA OD NAJBARDZIEJ NAWET TRUDNEJ DO POSKLEJANIA KOALICJI, PONIEWAŻ RZĄD TUSKA DEMOLUJE DOSŁOWNIE KAŻDĄ DZIEDZINĘ ŻYCIA.

eprasa.pl e719c8288f

Suwerenna, czyli jaka?

Rozmowy na prawicy o suwerenności przypominają trochę tęsknoty za złotym runem. To ideał coraz bardziej zagrożony. **Nie ma zgody**, od kiedy suwerenność jest, a od kiedy już jej nie ma. Za to sam udział w trosce o jej zachowanie daje przywilej uczestniczenia w podtrzymywaniu narodowego mitu.

Jakub Pacan

Przypadające 11 listopada Narodowe Święto Niepodległości co roku skłania całą konserwatywno-prawicową Polskę ku refleksji nad suwerennością i miejscem Rzeczpospolitej na geopolitycznej mapie świata.

Sam pochód w Marszu Niepodległości to doświadczenie bezcenne, ponieważ można tam usłyszeć w for-



Marsz Niepodległości z 2022 r.

eprasa.pl e719c8288f

mie skondensowanej wszystkie bóle, nadzieje, frustracje, diagnozy i oczekiwania prawicy niepodległościowej, rynkowej, patriotycznej, ideowej, PiS-owskiej, konfederackiej, w końcu tej wykarmionej na Radiu Maryja i TV Republika. Na Marszu znowu ożyją trumny Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, a wszystkie rozmowy, spory, tłumaczenia będą sprowadzały się do jednego zagadnienia: wolności i siły własnego państwa.

Polska w kisielu

We wszystkich tych rozmowach bardzo często wybija nurtujące pytanie:



Fot. M. Żegliński

„Co się dzieje, że się nie da?". Dlaczego Polska nie rozwija się normalnie i traci kawałek po kawałku swoją własność i suwerenność? W 2024 r. od Polaków najwięcej pracowali w Europie tylko Grecy, co się zatem dzieje z tym wypracowanym kapitałem? Gdzie on ucieka? Dlaczego przez ostatnie 300 lat – czyli od czasów końca XVII wieku, poprzez okres rozbiorów, aż po XX i XXI wiek – widać trwały wzorzec: państwo z ogromnym potencjałem (geograficznym, kulturowym, ludnościowym) pozostaje jednak w tyle za innymi?

Rafał Ziemkiewicz nazwał to kiedyś pływaniem w kisielu: „Żyć w Polsce to jakby się było zmuszonym pływać w kisielu, da się, oczywiście, tylko każdy ruch kosztuje dwa razy więcej wysiłku" – napisał w książce „Żywina". – [Młodzi Polacy] Nie chcą się męczyć z kisielem, tylko chcą się znaleźć w miejscu, gdzie mogą od razu się sprawdzić na równych prawach. I tak są zawsze trochę do tyłu jako imigranci, którzy gorzej znają język, nie znają lokalnego układu. Ale i tak mimo wszystko łatwiej im konkurować z Anglikami, Irlandczykami czy Amerykanami, niż tutaj walczyć z układem, który na szczeblu lokalnym bywa mafią, czasami bardzo potężną. Ten kisiel to jest kwestia pewnej renty, którą płacimy na utrzymanie Towarzysza Szmaciaka, wszystkich jego krewnych i znajomych – mówił Ziemkiewicz w Newserii.

Hermeneutyka pamięci polskiej prawicy nieuchronnie prowadzi zawsze do szukania odpowiedzi nad utratą suwerenności w przemożnej sile wpływów zaborczych mocarstw, które nawet po odzyskaniu przez Polskę niepodległości miały i mają ogromne zasoby finansowe i osobowe do kształtowania naszej rzeczywistości polityczno-gospodarczej w sposób zasadniczy. Didaskalia mogą odbiegać od tego wzorca, jednak w mniejszym czy większym stopniu krążą wokół niego.

Bo i faktycznie, najłatwiej wyśmiewać teorie spiskowe, jednak wnikliwy badacz nie może przejść obojętnie obok takich dat, jak choćby traktat z Poczdamu z 1720 r. Ta tajna umowa między Prusami a Rosją dotyczyła wspólnych działań na rzecz utrzymania Rzeczypospolitej w stanie chaosu, niemożności i paraliżu decyzyjnego. Stąd walczono o zachowanie liberum veto i wolnej elekcji. Strony także zobowiązały się, by nie dopuścić do zwiększenia liczebności wojska polskiego. Wszelkie próby reformy państwa miały być torpedowane, swobody szlacheckie zaś były popierane w pełnej rozciągłości. Od tamtej pory państwa niemieckie (pruskie, potem niemieckie) oraz Rosja (imperium carskie, a potem Związek Radziecki i Federacja Rosyjska) konsekwentnie traktowały i traktują Polskę jako „obszar buforowy" lub jako państwo drugiej kategorii.

Traktat poczdamski mógł być realizowany dzięki tzw. szlachcie-gołocie. Po potopie szwedzkim sporo szlachty zostało bez jakiegokolwiek majątku, za to z prawami politycznymi. Ta szlachta stała się klientelą różnych ambasad, przede wszystkim pruskiej i rosyjskiej. Wtedy też przestały działać pewne wewnętrzne granice i obyczaj polityczny zabraniający wysługiwania się wrogom Polski. Zjawisko agentury było niestety powszechne. Później poszło łatwo, w 1732 r. podpisano tzw. Traktat Loewenwolda, zwany też przymierzem trzech czarnych orłów, którego celem było utrzymanie Rzeczypospolitej w stanie obezwładnienia, i było tak aż do rozbiorów.

Rosja, Niemcy, agentura

W II RP oskarżenia o agenturę były dwukrotnie lub trzykrotnie intensywniejsze niż dzisiaj. Problem agentów i obcych wpływów

eprasa.pl e719c8288f

w pewnym momencie był tak poważny, że Józef Piłsudski na zjeździe legionowym w Kaliszu w 1927 r. w całości poświęcił tej tematyce swoje przemówienie, co było rzeczą niespotykaną. „W parze z tą agenturą austriacką szła agentura inna, agentura rosyjska, to jest tego państwa, z którym Austria i myśmy walczyli. Szła akurat w tym samym kierunku, także płatna, także czyniąca to, co obcy zaborca od niej wymagał, pracująca nad obniżeniem naszej pracy, brukająca nas słowami, określeniami, abyśmy pociągający dla swoich rodaków nie byli. Myślałem, że wraz z odrodzeniem się Polski materialnym i duchowo Polska odradzać się zacznie, że wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzwalać się zacznie od pracy agentur, że przestanie pracę dla obcych uważać za najrozumniejszą i za najpewniejszą pracę dla Polaka”.

Jednak fatalne dziedzictwo jurgieltu wzięło górę, co dobitnie stwierdził Naczelnik: „Widziałem starania ustawiczne i stale idące bez ustanku w jednym i tym samym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie jako Naczelnika Państwa, szukając wytworzenia kilku rządów w Polsce – obok rządów, stojących przy mnie – rządów agentur, stojących poza mną. [...] Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw niż przez moich podwładnych. Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym” – apelował niemal rozpaczliwie Piłsudski.

Skoro odżył głos Józefa Piłsudskiego, to dodajmy kilka słów od Romana Dmowskiego: „Cała Europa Środkowa i Wschodnia jest dziś polem wytężonej niemieckiej pracy dla przyszłości oraz energicznej akcji politycznej prowadzonej często metodami znanymi tylko polityce niemieckiej; jest sferą szybkiego wzrostu niemieckiego wpływu, polem pokojowego ze strony Niemiec podboju. Drogi tego wpływu, rozmiary tego podboju są często dla polityków nawet nieuchwytne, nie podchodzą bowiem pod żadne ustalone kategorie, którymi w polityce międzynarodowej przywykliśmy myśleć” – pisał w 1908 r. w książce „Niemcy, Rosja i kwestia polska”.

W III RP publicystyka prześciga się w obnażaniu agentur i szukaniu sensacji na tym polu, ale gdy w światku politycznym emocje wymykają się spod kontroli, to i Jarosławowi Kaczyńskiemu zdarzy się potwierdzić dziennikarskie plotki i powiedzieć z mównicy sejmowej do Donalda Tuska: „Jest pan niemieckim agentem”. Tusk Kaczyńskiego nie oskarżył, prezes słów nie wycofał.

Za to Radek Sikorski w rozmowie z węgierskim portalem Válasz Online mówi bez ogródek: „Miałem rację w sprawie robienia laski Amerykanom przez PiS. Są szczęśliwi, choć zrujnowali relacje z Niemcami i Rosją”.

W 2024 R. OD POLAKÓW WIĘCEJ PRACOWALI W EUROPIE TYLKO GRECY, CO SIĘ ZATEM DZIEJE Z TYM KAPITAŁEM? GDZIE ON UCIEKA?

ŻADEN KRAJ NIE MOŻE ISTNIEĆ BEZ WŁASNOŚCI. POLSKA NIE MA WŁASNOŚCI.

Suwerenność dzielona

Osobną kwestią jest w obecnych czasach pytanie o możliwość pełnej suwerenności. Polska jest w Unii Europejskiej i funkcjonuje w ramach tzw. suwerenności dzielonej. Dziś właściwie nie ma w stu procentach suwerennych państw, prócz największych mocarstw, choć i tutaj dociekliwi doszukaliby się pewnych rys.

„Nowy europejski porządek panowania różni się od innych organizacji międzynarodowych m.in. tym, że posiada własny porządek prawny, niezależny od państw członkowskich, zachowując prymat w stosunku do nich i rozwijając bezpośrednie oddziaływanie na ich obywateli. Po drugie [UE] dysponuje własnymi instytucjami, z których najważniejsze (Rada, Komisja, Trybunał, Parlament) posiadają własny zakres kompetencji, przy czym podejmowane decyzje są częściowo niezależne od zgody państw członkowskich [...]. Europeizacja przekształca państwa narodowe w państwo transnarodowe. Interesy narodowe i europejskie scalają się do tego stopnia, że te pierwsze postrzegane są jako drugie”, a w związku z tym „europeizacja nie oznacza nic innego jak tylko wymuszanie od innych państw «krok po kroku» części ich suwerenności i przeobrażanie jej w suwerenność

eprasa.pl e719c8288f

kosmopolityczną" – piszą Ulrich Beck i Edgar Grande w książce „Europa kosmopolityczna".

To dla części prawicy, głównie nurtu narodowego, sytuacja nie do przyjęcia i pojawiają się alternatywy prowadzenia polityki bardziej samodzielnej, suwerennej i wielowektorowej, w której Warszawa na równych prawach rozmawia z Moskwą i Waszyngtonem. Jednak znowu inna część prawicy wpatrującej się w USA powie, że Polska jest zbyt mała, by mogła sobie pozwolić na samodzielne decydowanie o sojuszach międzynarodowych i militarnych i zbyt duża, by można jej było odpuścić, tak jak np. Słowacji czy nawet Węgrom. Polska ma więcej ludności niż wszystkie pozostałe dziewięć państw w sumie, które wchodziły z nią do UE w 2004 r. Bruksela czy Waszyngton przymkną oko na egzotyczne sojusze np. Bułgarii czy Malty, ale już nie Warszawy. Kolejny raz o głos upomniał się Piłsudski: „Polska będzie wielka albo nie będzie jej wcale" – mówił w kontekście walk o kształt granic Polski po odzyskaniu niepodległości w 1918 r.

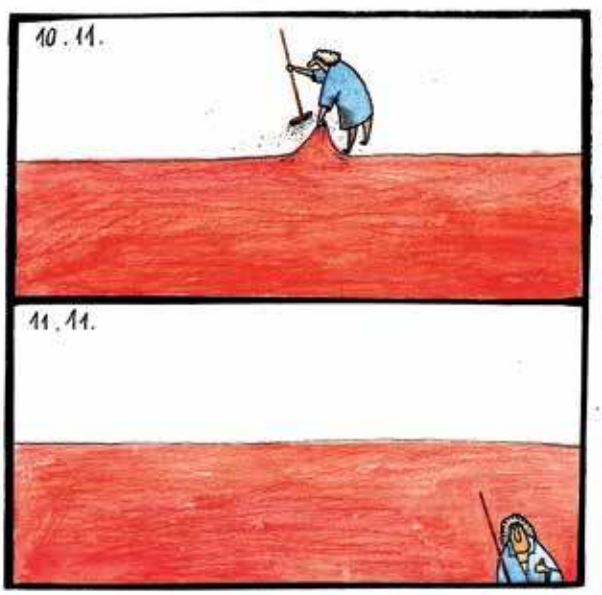
> ***Widziałem starania ustawiczne i stale idące bez ustanku w jednym i tym samym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa.***
>
> JÓZEF PIŁSUDSKI

Jak w tej niełatwej sytuacji balansowania odnajduje się Polska? Z jednej strony walczymy o swoją suwerenność polityczno-państwową jeszcze skutecznie, z drugiej gospodarczo Polska po prostu poległa. Żaden kraj nie może istnieć bez własności. Polska, jedno z większych europejskich państw, nie ma żadnej rozpoznawalnej marki w świecie. Nie mamy własnych samochodów, wysokich technologii, sprzętu AGD, marek ekskluzywnych, odzieży. Gospodarczo nic nie kojarzy się z polską jakością, marką. Do dzisiaj jeżdżą po rubieżach świata jeszcze ponad pięćdziesięcioletnie ciągniki „Ursus", pozostałość po czasach, gdy je produkowaliśmy, lecz obecnie to historia. Nie produkujemy własnych samolotów, nie mamy żeglugi oceanicznej, ba, nasze porty morskie często są w obcych rękach. Produkcja cukru w Polsce w większości należy do niemieckich właścicieli. Największe sieci telefonii komórkowej nie są polskie, podobnie jak rynek mediów. To absolutny ewenement, jesteśmy państwem bez własności. Rynek finansowy też w znacznej mierze jest niepolski, nawet prosty handel w większości nie należy do polskiego kapitału.

W Polsce dochodzi do nienormalnych sytuacji, na które nikt nie ma wytłumaczenia. Podczas rozmów np. z przedstawicielami Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność" wciąż pojawia się wątek „przekleństwa 1%". Na polską naukę idzie 1% PKB i nikt, żaden rząd po 1989 r., mimo obietnic wyborczych nie podjął tego tematu. Tutaj ciekawostka – chcemy wydawać na uzbrojenie 5% PKB i zamawiamy uzbrojenie z Korei Południowej, gdzie na naukę idzie właśnie 5% PKB. Permanentnie reformowana jest armia i permanentnie leży u nas obrona cywilna. Mimo permanentnej wojny za wschodnią granicą permanentnie nie ma w Polsce powszechnego szkolenia wojskowego, strzelnic i nowych schronów.

A może na końcu tych dywagacji faktycznie nasza sejmowa szlachta-gołota i trudny do wykrycia jurgielt urzędniczo-administracyjny to filary, na których nasi potężni sąsiedzi kontynuują ducha umowy z 1720 r.? Jeśli tak, to „mają rozmach sk...yny".

11.11. MICHALSKI



eprasa.pl e719c8288f

Czy już jesteśmy prowincją UE?

Z dumą i radością Donald Tusk obwieścił, że wprowadzenie systemu ETS2, czyli nowych opłat za emisję dwutlenku węgla pobieranych m.in. od spalania paliwa przez samochody prywatne czy ogrzewania jednorodzinnych domów, zostało zawieszone. Pomijając fakt ewidentnej manipulacji ze strony premiera – gdyż naliczanie tego parapodatku zostało **tylko przesunięte** o rok – to trudno znaleźć bardziej jaskrawy dowód na utratę suwerenności. Polska musi zabiegać w Brukseli, by tamtejsi urzędnicy odłożyli w czasie wprowadzenie opłat, które zniszczą naszą gospodarkę oraz spowodują gwałtowne zubożenie społeczeństwa. Szef rządu za swój sukces uznaje, że katastrofę udało się przesunąć o rok.

Mariusz Staniszewski

Ewidentnie widać, że relacja między polskim rządem a Komisją Europejską polega na podległości. Bruksela posiada cały zestaw instrumentów, za pomocą których może wpływać na tempo rozwoju poszczególnych członów UE. Te zresztą coraz bardziej przypominają prowincje.

Obca administracja

O tym, jak europejskie instytucje rozszerzają swoje kompetencje, świadczy działanie Prokuratury Europejskiej, która zajęła się prezydentem Nowego Sącza Ludomirem Handzelem i jego zastępcą Arturem Bochenkiem. Obaj zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego pod zarzutem ustawianie konkursów



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e719c8288f

na szkolenia finansowane z unijnych pieniędzy.

Nie chodziło o wielkie kwoty w skali UE, ale o spore dla Nowego Sącza. Związani z Koalicją Obywatelską politycy zostali zawieszeni w czynnościach. Nie zdecydowali jednak o tym polscy śledczy. „Europejska Prokuratura (EPPO) Biuro w Katowicach podjęła dziś decyzję o zawieszeniu w czynnościach służbowych prezydenta miasta Nowego Sącza, jednego z jego zastępców oraz innego wysokiego rangą miejskiego urzędnika publicznego. Decyzja stanowi element zastosowanych środków zapobiegawczych przewidzianych w polskim prawie w związku z trwającym śledztwem dotyczącym przetargu współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej" – głosi komunikat EPPO opublikowany na platformie X.

Pozornie sprawa wydaje się logiczna – skoro pieniądze były unijne, to kwestią ewentualnych nadużyć powinien zajmować się organ UE. To jednak tylko uchylenie drzwi do przejęcia przez Brukselę kontroli nad najważniejszymi śledztwami w Polsce i w dwudziestu dwóch krajach członkowskich, które przystąpiły do tej instytucji. Oficjalnie Prokuratura Europejska ma zajmować się śledztwami naruszającymi finansowe interesy Unii Europejskiej. Głównie chodzi o pranie brudnych pieniędzy, korupcję, nadużycia finansowe oraz transgraniczne oszustwa VAT-owskie. Tyle tylko że właściwie wszystkie ważniejsze przestępstwa gospodarcze i finansowe dokonywane w państwach członkowskich można uznać za naruszające interesy UE. Nawet niewielki konkurs w Nowym Sączu.

Jeśli dodamy do tego stałe rozszerzanie przez unijne instytucje swoich kompetencji – najczęściej wbrew traktatom, umowom i przepisom prawa – to możemy być pewni, że EPPO to początek procesu centralizacji organów ścigania. Wszak służby poszczególnych krajów, także Polski, są zobowiązane do realizacji zadań zleconych przez Prokuraturę Europejską. Tak jak w przypadku prezydenta Nowego Sącza i jego zastępcy.

Europejska instytucja znajdująca się niemal całkowicie poza kontrolą państwa członkowskiego uzyskuje więc nie tylko dostęp do wyjątkowo wrażliwych danych, ale także możliwość wpływania na politykę w poszczególnych państwach. Pal sześć, gdy chodzi o prezydentów niewielkiego miasta, ale przecież podobna operacja może zostać przygotowana przeciw niewygodnym dla Brukseli, Berlina czy Paryża politykom. Na przykład w Polsce.

Pretekstem może być korupcja, niszczenie praworządności, którą można uznać za godzenie w interesy finansowe UE czy choćby wątpliwości przy wydatkowaniu środków unijnych. Sama informacja o uruchomieniu śledztwa przez „niezależną" Prokuraturę Europejską może mieć ogromne znaczenie w każdej kampanii wyborczej. Zanim sprawa trafi do sądu, polityk zamieni się w podejrzanego – dokładnie taki mechanizm wobec opozycji stosuje dziś duet Donald Tusk i Waldemar Żurek.

Unijni politycy zyskują więc kolejny instrument do podporządkowywania sobie politycznych przeciwników.

Brutalna gra

O tym, że europejscy liderzy nadużywają władzy wobec państw członkowskich, przekonywaliśmy się już wiele razy. Unia de facto unieważniła referendum w Grecji, w którym obywatele opowiedzieli się przeciwko morderczemu planowi oszczędnościowemu zaproponowanemu przez Brukselę, a dokładniej Berlin. Następnie zmusiła rząd w Atenach do wyprzedaży majątku, który w dużej mierze przejęły firmy niemieckie.

Za pomocą fałszywych informacji o złym stanie finansów Włoch i oferty udzielenia wysokiej pożyczki stabilizacyjnej, o którą rząd w Rzymie nie zabiegał, niemiecko-francuskiemu duetowi udało się doprowadzić do dymisji premiera Silvio Berlusconiego. Podoba sytuacja wydarzyła się w Hiszpanii, w której urząd musiał złożyć José Luis Zapatero.

Także my na własnej skórze przekonaliśmy się, co znaczy spór z Brukselą. Komisja Europejska przez wiele miesięcy oszukiwała polski rząd w sprawie wypłaty

WYWOŁANIE KRYZYSU W POLSKIM WYMIARZE SPRAWIEDLIWOŚCI MOŻE BYĆ WYŚMIENITYM PRETEKSTEM DO WEZWANIA NA POMOC BRUKSELI, BY TO ONA ODBUDOWAŁA NASZE SĄDOWNICTWO WEDŁUG UNIJNYCH STANDARDÓW.

eprasa.pl e719c8288f

pieniędzy w ramach KPO. Najpierw wyznaczała warunki, a gdy te były spełniane, pojawiały się kolejne. Celem było oczywiście doprowadzenie do porażki konserwatywnego gabinetu Mateusza Morawieckiego, co ostatecznie się udało.

Komisja Europejska z Ursulą von der Leyen na czele nie wahała się przekraczać kompetencji zarówno w stosowaniu, jak i interpretowaniu prawa.

W rzeczywistości mieliśmy do czynienia ze sporem zbuntowanej prowincji, która rościła sobie prawo do samostanowienia, z centralą imperium pragnącego za wszelką cenę ugruntować swoją władzę.

Przejmowanie sądów

Jednym z najbardziej gorących punktów sporu między Brukselą a Warszawą był wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który stwierdził wyższość polskiej konstytucji nad prawem UE. To podważało władzę centrali i stawało się niebezpiecznym precedensem. Co prawda wcześniej podobne wyroki zapadły na przykład w Niemczech, Francji czy Hiszpanii, ale przecież unijna administracja inną miarę przykłada do państw Starej Unii, a inną do krajów z Europy Środkowo-Wschodniej. W tej części UE wszystkie tendencje emancypacyjne są z zasady bezwzględnie dławione.

Dlatego podsycany jest spór o kształt wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Wspólnie robią to politycy rządzącej koalicji, szczególnie KO, oraz unijni politycy i sędziowie. Warto w tym miejscu przypomnieć skandal, który cztery lata temu ujawnił francuski „Libération". W serii artykułów dziennik opisał handel wpływami, ustawianie wyroków, ale także inne nieuczciwe praktyki, których mieli dopuszczać się sędziowie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, urzędnicy Komisji Europejskiej oraz politycy Europejskiej Partii Ludowej. To właśnie do tej formacji należą Koalicja Obywatelska i PSL.

Wywołanie kryzysu w polskim wymiarze sprawiedliwości może być wyśmienitym pretekstem do wezwania na pomoc Brukseli, by to ona odbudowała nasze sądownictwo według unijnych standardów. Temu właśnie może służyć projekt ustawy przygotowywanej przez obecnie rządzącą ekipę, zgodnie z którą orzekający w naszym kraju sędzia nie będzie musiał mieć polskiego obywatelstwa. Innymi słowy – to furtka do tego, by Bruksela czy Berlin przysłali swoich ludzi do zarządzania pogrążoną w chaosie prowincją.

O tym, że Unia nie waha się przed takim działaniem, przekonaliśmy się przy okazji sporu o praworządność. Choć traktaty pozostawiają kwestię sądownictwa państwom członkowskim, Bruksela bezpardonowo ingerowała i nadal ingeruje w polskie sądownictwo. Znajdując tu zresztą wielu współpracowników, którzy w tym zamieszaniu wietrzą swoją szansę na rozwinięcie kariery.

Ostatnia reduta

Solą w oku zwolenników ścisłej federalizacji Unii Europejskiej, czyli w rzeczywistości podporządkowania naszego kraju Brukseli, jest Narodowy Bank Polski. Jego niezależność wobec Europejskiego Banku Centralnego wynikająca z posiadania własnej waluty od pierwszych dni drażni rządzącą większość.

Tusk i jego ekipa kilka razy przymierzali się do usunięcia z fotela prezesa NBP Adama Glapińskiego, co miałoby przyspieszyć proces przyjmowania przez nasz kraj waluty euro. Formalnie konieczna jest do tego zmiana konstytucji, ale przecież obecny rząd nie przejmuje się tego rodzaju ograniczeniami.

Rezygnacja ze złotego byłaby domknięciem procesu wchłaniania Polski przez Unię, co w obecnym kształcie oznaczałoby absolutne podporządkowanie finansów naszego kraju centrali we Frankfurcie. Tam w dużej mierze trafiłoby także złoto, które przez ostatnie lata kupuje NBP.

TERAZ, GDY NASTĘPUJE WZMOŻENIE PRZEŚLADOWAŃ OPOZYCJI, MOŻE PRZYJŚĆ CZAS NA SIŁOWE PRZEJĘCIE NARODOWEGO BANKU POLSKIEGO.

Rządząca ekipa nie zamknęła jednak jeszcze tego rozdziału. Świadczy o tym artykuł Klausa Bachmanna, niemieckiego publicysty, opublikowany w „Berliner Zeitung". Wezwał w nim Donalda Tuska do siłowego usunięcia prof. Glapińskiego z zajmowanej funkcji, przejęcia zgromadzonego złota i spłacenia nim rosnącego zadłużenia. Można by tę opinię uznać za zwykłe wariactwo, ale wcześniej Bachmann dokładnie wyznaczył Tuskowi sposób i metody walki z konserwatywną opozycją. Premier wykonywał te wytyczne bardzo skrupulatnie. Z taką jednak wadą – zdaniem niemieckiego publicysty – że za bardzo cackał się z PiS-em.

Teraz, gdy następuje wzmożenie prześladowań opozycji, może przyjść czas na siłowe przejęcie Narodowego Banku Polskiego.

eprasa.pl e719c8288f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Kryteria stoją w miejscu

Nie będzie zmiany kryteriów dochodowych w pomocy społecznej od stycznia 2026 r. Jak dotychczas weryfikacja kryterium dochodowego odbywać się będzie co trzy lata. Ostatnia nastąpiła w styczniu 2025 r. i była to długo wyczekiwana zmiana, bo szła za nią waloryzacja kwot świadczeń w pomocy społecznej, np. zasiłku stałego i zasiłku okresowego. Kolejna zmiana kryterium i kolejny wzrost świadczeń przypadną zatem dopiero na początek 2028 r. Poprzednia waloryzacja świadczeń odbyła się w styczniu 2022 r.

Dlaczego o tym piszę? Bo nowa władza i nowa minister rodziny, pracy i polityki społecznej zapowiadała coroczną weryfikację tych kryteriów. Według jej słów podstawą walki ze skrajnym ubóstwem miałaby być zmiana systemowa, której podwalinę stanowiłoby właśnie coroczne zwiększanie kryteriów. Oczywiście deklaracje deklaracjami – nikomu z prominentnych polityków, oprócz być może samej minister, nie zależy na tym, by zwiększyły się zasiłki i pomoc socjalna „dla biedoty". Nikomu zatem nie jest pilno do szybkiego podniesienia kryteriów dochodowych, bo jedno pociąga za sobą drugie. Co prawda przygotowany został projekt ustawy, który wprowadza coroczną weryfikację, ale to jeszcze o niczym nie świadczy – pomysłu nie popiera choćby minister finansów.

Czyli jak zwykle. Gdy tylko człowiek ubogi ma cokolwiek otrzymać, decydentom rosną kły i pazury.

O co tak naprawdę chodzi z tym kryterium, dlaczego warto je podnosić? Od stycznia bieżącego roku wynosi ono 1010 zł na osobę samodzielnie gospodarującą oraz 823 zł na osobę w rodzinie. Podwyższenie kryterium oznacza, że zwiększa się grupa osób, które mają możliwość skorzystania z pomocy społecznej w jej wymiarze finansowym – poprzednie kwoty wynosiły 776 i 600 zł, a zatem dużo mniej. Waloryzacja kryterium zawsze wpływa na wysokość kwot zasiłków, więc gdyby odbywała się co roku, te także corocznie by się zwiększały. Niewielu osobom znany jest także inny ważny fakt – pomoc społeczna udzielana jest nie do 100, ale do 200 procent kryterium. Jeśli zatem wynosi ono teraz 1010 zł, to o pomoc (nie wszystkie jej finansowe formy, ale o wiele z nich) może się ubiegać także osoba prowadząca samodzielne gospodarstwo domowe i mająca dochód (emeryturę, zarobki czy alimenty) nawet w kwocie 1800 czy 2000 zł. Analogicznie sytuacja wygląda w przypadku pomocy dla rodzin. Kolejne podniesienie kryterium dochodowego zwiększyłoby zbiór osób uprawnionych do finansowego wsparcia. Wzrastałyby także rokrocznie zasiłki stałe (przyznawane osobom, które są jednocześnie ubogie i chore lub wiekowe) oraz zasiłki okresowe (przyznawane osobom i rodzinom z dochodem zerowym lub ogólnie dochodem niższym niż 100 procent kryterium).

Cóż, ustawa o corocznej waloryzacji „czeka na wpis do wykazu prac legislacyjnych rządu". Waloryzacja znajduje się na liście 58 priorytetów rządu do spełnienia do końca kadencji. Jak już doskonale wiemy, absolutnie nic to nie znaczy. Ubodzy poczekają.

eprasa.pl e719c8288f



Fot. pixabay

Suwerenność to także infrastruktura i transport

– Nad kwestiami dotyczącymi bezpieczeństwa energetycznego, transportowego, wojskowego, medycznego czy żywnościowego kontrolę musi mieć państwo – mówi **Zdzisław Jasiński**, przewodniczący Rady Krajowego Sekretariatu Transportowców NSZZ „Solidarność”, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Jakie nastroje panują w branży transportowej wśród członków Związku?

– Jeżeli chodzi o szeroko pojętą branżę transportową – mam tu na myśli kolejarzy, transport samochodowy, lotniczy i morski – mierzymy się z wieloma problemami, zarówno takimi, które znamy od dawna, jak i tymi, które spadły na nas ostatnio znienacka. Palącą kwestią jest chociażby sytuacja w PKP Cargo.

– Co tam się obecnie dzieje?

– Po jednej serii zwolnień nastąpiły kolejne. Nie widać światła w tunelu.

– Co mogłoby nim być?

– Zwiększenie wolumenu transportu drogą kolejową. Ta kwestia dotyczy zresztą nie tylko Polski, ale i całej Europy. Wszelkie próby spowodowania,

eprasa.pl e719c8288f

aby większy wolumen transportu towarowego trafiał na wagony, niestety na razie nie przynoszą korzyści. A co za tym idzie? Jeżeli nie ma przewozu towarów, to nie ma zapotrzebowania na pracę, a jak nie ma zapotrzebowania na pracę, to mamy kolejne redukcje i zwolnienia. Tak się właśnie dzieje w spółce PKP Cargo, która jest w sanacji i przeżywa ogromne problemy.

W spółce Cargo mamy problem ekonomiczny, ale z kolei w obszarze działania Polskich Linii Kolejowych mamy boom inwestycyjny. Po co więc tutaj cokolwiek likwidować, optymalizować, zmniejszać, jeżeli nie mamy problemów ekonomicznych? Będziemy raczej mieć duży problem, żeby dobrze przepracować środki unijne i żeby mądrze wydać je na rozwój i modernizację infrastruktury kolejowej.

– Demonstrowali Państwo ostatnio przed Ministerstwem Aktywów Państwowych. Czy ta manifestacja odniosła jakiś skutek? Czy istnieje wola dialogu ze strony rządu?

– Niestety mam przykre doświadczenia, jeżeli chodzi o prowadzenie dialogu ze stroną rządową. Jest to udawany dialog. Na poparcie tej tezy przywołam sytuację, z którą mamy teraz do czynienia w Polskich Liniach Kolejowych. Zostaliśmy jako strona społeczna zaskoczeni propozycją zarządu spółki, który zdecydował o łączeniu zakładów, czyli de facto o likwidacji sześciu jednostek wykonawczych. Ten proces nazwano – o ironio – „integracją".

Był on przygotowywany tak skrycie, że nikt nie wiedział, iż zarząd planuje tak daleko idące zmiany. Konsultacje społeczne zostały przeprowadzone już po podjęciu decyzji przez kierownictwo spółki i polegały na tym, że pełnomocnik zarządu odbył spotkania z pracownikami, na których zapewnił ich, że wszystko będzie w porządku, że nikt nie zostanie zwolniony, że skutki zmian odczują ewentualnie jedynie dyrekcje likwidowanych jednostek i naczelnicy wydziałów, a szeregowi pracownicy będą bezpieczni.

– Co Państwo na to?

– My w takie rzeczy nie wierzymy. Przecież pracownicy będą z biegiem czasu zmuszani do dojeżdżania do innych, dalej położonych miejsc pracy i do zmieniania stanowisk – bo przecież nowe miejsca pracy nie będą dokładnym odzwierciedleniem dotychczasowych. A jeżeli pracownicy nie podpiszą nowych umów, będzie to najtańszy sposób ich zwolnienia, bez odpraw etc. To nie jest dialog. Jeżeli firma ma przygotowaną całą mapę drogową restrukturyzacji, łącznie z datami, kiedy co ma nastąpić, to pytanie, czy w ogóle prowadzi ona jakiekolwiek konsultacje, wydaje się retoryczne.

– No tak, to jest po prostu wdrażanie planu.

– Tak. Wdraża się plan i jedynie odhacza się formalności – odbyło się spotkanie, przyjechał pełnomocnik zarządu, porozmawiał, problemów nie zauważył.

W DOBIE WOJNY NA UKRAINIE I W CZASACH CYBERATAKÓW ZE STRONY ROSJI POWINNIŚMY BYĆ BARDZIEJ OSTROŻNI, JEŻELI CHODZI O ZATRUDNIANIE PRACOWNIKÓW W INFRASTRUKTURZE KRYTYCZNEJ.

– Pozorowany dialog jest trudniejszy niż otwarta wrogość?

– Zawsze uważamy, że ostatnią rzeczą jest wyjście na ulicę, strajk generalny czy inne formy protestu. Żyjemy przecież w XXI wieku, w 20. gospodarce świata, więc nie byłoby dobrze, gdybyśmy wracali do epoki, kiedy rzucamy kamieniami czy palimy opony. Jesteśmy otwarci na jakiś kompromis, ale to trzeba wypracować, a nie oświadczyć załodze wolę zarządu i nazwać to konsultacjami.

– Jeżeli w końcu związkowcy nie wytrzymają i faktycznie wrócą do palenia opon, zostaną w mediach przedstawieni jako wichrzyciele i awanturnicy.

– Oczywiście, że tak. Widocznie komuś zależy, żebyśmy mieli jako związki zawodowe dorobioną „gębę" zadymiarzy. A my przecież mamy swoich ekspertów, mamy swoje badania i chcemy rozmawiać na poważnie, być traktowani po partnersku, z szacunkiem.

Solidarność opracowała właśnie kolejny raport na temat tzw. Zielonego Ładu. Eksperci przeanalizowali merytorycznie wpływ tej polityki na gospodarkę. Podali konkretne liczby i opisali konkretne mechanizmy. O tym właśnie chcemy rozmawiać i chcemy to robić w oparciu o argumenty. Wracając do kolei, następna sprawa to bezpieczeństwo. W polskich liniach kolejowych, patrząc na Europę, jesteśmy trochę z tyłu, jeżeli chodzi o sprawy bezpieczeństwa ruchu kolejowego.

eprasa.pl e719c8288f

– To znaczy?

– Mam tu na myśli sprawę systemu GSM-R, czyli systemu łączności pomiędzy kierującym pojazdem a dyżurnym ruchu. Mamy analogową łączność pociągową, która narażona jest na różne cyberataki czy nawet na głupie pomysły ludzi bawiących się radiotelefonami. Jeśli wejdą oni na używane przez kolej częstotliwości, mogą spowodować duże nieszczęście, zakłócając polecenia wydawane maszyniście.

ABY INFRASTRUKTURA KOLEJOWA STANOWIŁA CAŁOŚĆ I BYŁA ODPOWIEDNIO CHRONIONA, ENERGETYKA RÓWNIEŻ POWINNA STANOWIĆ JEJ INTEGRALNĄ CZĘŚĆ.

Nie mamy ETCS-u, czyli nowoczesnego systemu zarządzania ruchem kolejowym, który w Unii Europejskiej jest już dalece rozwinięty i dzięki któremu bezpieczeństwo prowadzenia ruchu pociągu jest tam na o wiele wyższym poziomie niż w naszym kraju. To są problemy, którymi powinny zajmować się zarządy spółek kolejowych, tym bardziej w obecnej sytuacji geopolitycznej.

To zresztą nie jest jedyny obszar dotyczący naszego bezpieczeństwa. Warto w tym kontekście wspomnieć o problemach pracowników portów morskich, o których od dawna mówi Solidarność i które dotyczą kwestii zatrudniania tam ludzi przez agencje pracy tymczasowej. Jest to praca w obszarze infrastruktury krytycznej – w dokach, na holownikach, podczas przeładunków etc. Zatrudnia się tam ludzi z całego świata, często nieznających języka polskiego. Przy tego rodzaju pracach istnieje bardzo duże ryzyko wyrządzenia szkód i – jeśli ktoś by tego chciał – przeprowadzenia sabotażu na infrastrukturę krytyczną. Tymczasem nikt tego nie sprawdza, nie kontroluje, liczy się jedynie rachunek ekonomiczny. Wydaje mi się jednak, że w dobie wojny na Ukrainie i w czasach cyberataków ze strony Rosji powinniśmy być bardziej ostrożni, jeżeli chodzi o zatrudnianie pracowników w infrastrukturze krytycznej.

– Związkowców niepokoi groźba „cichej prywatyzacji" strategicznych spółek Skarbu Państwa. Dotyczy to szczególnie obszaru energetyki, ściśle powiązanej przecież z transportem.

– Moim zdaniem energetyka kolejowa powinna być spółką zależną w strukturach Polskich Linii Kolejowych i to byłoby najlepsze rozwiązanie. Mielibyśmy wówczas gwarancję, że tak jak Polskie Linie Kolejowe nie są brane pod uwagę w kwestii prywatyzacji, podobnie będzie z dotyczącą ich strukturą energetyczną. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś sprywatyzował tory kolejowe, tak samo jak nie wyobrażam sobie, żeby ktoś sprywatyzował autostrady. Na razie na szczęście przynajmniej takich pomysłów nie ma, ale żeby infrastruktura kolejowa stanowiła całość i była odpowiednio chroniona, energetyka również powinna stanowić jej integralną część. Drogi kolejowe i zasilanie powinny być w tych samych rękach, a nie – tak jak to do tej pory się zdarzało – nawet w rękach zagranicznych przedsiębiorców. Wiemy doskonale, że prywatny przedsiębiorca dzisiaj handluje samochodami, jutro może handlować gruszkami, a pojutrze w ogóle zlikwidować działalność. Nie może być tak, że w imię dobrego zarządzania będziemy prywatyzowali strategiczne spółki. Nad kwestiami dotyczącymi bezpieczeństwa energetycznego, transportowego, wojskowego, medycznego czy żywnościowego kontrolę musi mieć państwo.

* W ubiegłym tygodniu, już po przeprowadzeniu tej rozmowy, Zarząd PLK S.A. poinformował, że podjął decyzję o wstrzymaniu integracji Zakładów Linii Kolejowych w trybie przedstawionym do konsultacji społecznych.

Zdzisław Jasiński jest przewodniczącym Rady Krajowego Sekretariatu Transportowców NSZZ „Solidarność", a także przewodniczącym Sekcji Kolejarzy NSZZ „Solidarność". Pochodzi z gminy Wieruszów i od lat działa na rzecz tamtejszej lokalnej społeczności. Jest również współtwórcą i głównym organizatorem Mistrzostw Polski w Wyścigach Drezyn Ręcznych w Wieruszowie oraz kibicem sportowym.



eprasa.pl e719c8288f

KARUZELA BLOGERAMI

SEAMAN

GAMECHANGER I LUDZIE Z ŻELAZA

Pierwsze napięcie (a może to był tylko niesmak, co zresztą nie robi specjalnej różnicy) odczułem po wypowiedzi Roberta Telusa, byłego ministra rolnictwa z rządu PiS. Bo ja mam taki feblik, że ufam pierwszemu wrażeniu – jeżeli po przyjęciu do wiadomości jakiejkolwiek informacji odczuwam niepokój, którego przyczyny często nie potrafię od razu określić, to zakładam, że coś tu nie gra, i to mi się z reguły potwierdza w miarę poznawania kolejnych faktów. Rzecz jasna jako zdeklarowany od wielu lat, ale i nie pozbawiony krytycyzmu, PiS-owski wyborca jestem wyczulony na wszelkie PiS-owskie fiksacje, potknięcia i skuchy. Zatem jeśli chodzi o sprawki tej partii, to ja o tym napisać muszę, bo się uduszę!

Wszystko przez Mercosur

Otóż rzeczony minister oznajmił, że atak na jego osobę w kontekście sprawy KOWR-u, CPK i sprzedanej działki to efekt jego sprzeciwu wobec umowy Mercosur. Naprawdę tak napisał na platformie X. Rozumiecie w czym rzecz? Otóż UE, czyli Niemcy i cały unijny kapitał, potężne korporacje niemiecko-francuskie, a także tłuste koty z banków i wszelkie inne globalizmy, zwietrzyły biznes w tym całym Mercosur, ale sprzeciwiał się PiS-owski minister, więc postanowiono go zniszczyć. Nie prezydenta Karola Nawrockiego ani premierów Jarosława Kaczyńskiego czy Mateusza Morawieckiego, którzy w tej kwestii też są przeciwko, ale właśnie polskiego ministra rolnictwa postanowili zaatakować. Taki bowiem z niego gamechanger w globalnej rozgrywce.

Ludzie z żelaza

Każdy więc przyzna, że moje pierwsze odczucie niepokoju było uzasadnione, bo PiS znalazło się w opałach z powodu – jak na ironię – swojego sztandarowego projektu. CPK miał być bowiem nie tylko motorem wzrostu gospodarczego, ale i dźwignią wyborczego sukcesu. Niestety, po wypowiedzi ministra (a gdy to piszę, minął już tydzień od wybuchu afery) było jeszcze gorzej. Odezwali się ludzie z żelaza, czyli tak zwane twarde jądra żelaznych elektoratów z obu stron, którzy zaczęli obrzucać się medialnymi faktami i nie tylko faktami. A kiedy zabierają głos ci twardziele, to i politycy są zmuszeni wyrazić swoje poparcie.

Kunktatorstwo

Albowiem żelaznym elektoratem niekoniecznie dochodzi się do władzy w państwie, ale już wybór do parlamentu jak najbardziej można sobie co najmniej ułatwić w żelaznym elektoracie. Dlatego ja wypowiedź ministra kładę na karb tych wyborczych zabiegów, chyba nie jest mitomanem. Jednak żelaźniacy, także nasi, rozhulali się na dobre, a politycy, także nasi, nie mają dobrego wyjścia. Jedyne, jakie się nasuwa, to przeciąć węzeł gordyjski niedomówień, zaniechań i kunktatorstwa. Zawieszono w prawach członka kilku polityków PiS i gdy piszę ten tekst, to wiszą sobie i nie bardzo wiadomo, za co. Czy przez tydzień nie można dojść, kto wyraził zgodę, kto podpisał lub kto wpadł na ten pomysł, żeby tuż przed oddaniem władzy sprzedać działkę przydatną dla infrastruktury CPK?

Sprawy mniej ważne

Naprawdę w tej sprawie dla PiS nie jest najważniejsze, że obecny rząd przez dwa lata działki nie odkupił. Sprzeciw rządu Donalda Tuska wobec projektu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego w pierwotnym kształcie nie pomaga PiS-owi. Sytuacji tej partii nie zmienia ani trochę fakt, że firma Dawtona dotowała Campus Polska i kampanię Rafała Trzaskowskiego. PiS-u nie uratują wypowiedzi aktualnego szefa KOWR, że przez wiele miesięcy nie był w stanie spotkać się z szefem Dawtony, a gdy po ujawnieniu afery się spotkał, to rozmawiali o kukurydzy. Wypominanie Trzaskowskiemu sławetnej frazy: „Mamy lotnisko w Berlinie", nie zmienia postaci rzeczy. Owszem, to w jakiejś mierze szkodzi obecnej władzy, ale raczej nie pomaga opozycyjnemu PiS.

Kwestia najważniejsza

Formalnie do sprzedaży działki we wsi Zabłotnia pod Grodziskiem Mazowieckim doszło 1 grudnia, kilkanaście dni przed odejściem rządu PiS. To jest początek i koniec transakcji, a także sedno problemu. Ludzie PiS doprowadzili do zbycia tej działki. Polityczna cena tej transakcji z każdym dniem będzie rosła...

eprasa.pl e719c8288f

Bitwa na POMIDORY

Ta afera może poważnie zaszkodzić Prawu i Sprawiedliwości. Inaczej bowiem niż wszystkie dotychczas nagłaśnianie domniemane nadużycia polityków tego ugrupowania **faktycznie** dotyczy ona dość kontrowersyjnego działania z czasów jego rządów.

Krzysztof Karnkowski



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl e719c8288f

Jednak dziwnym trafem nie była wcale nagłaśniana przez obecnie rządzących, którzy odnieśli się do niej dopiero wtedy, gdy sprawę opisała Wirtualna Polska. I choć wydawało się, że tym razem dostają od przeciwnika polityczne złoto, sami zaczęli kluczyć i mijać się z prawdą. PiS również ma czym atakować, jednak czy to wystarczy, by odbudować się po tym kryzysie? I czy jego ceną nie okaże się wstrzymanie prac nad CPK?

W tej intrydze mamy wielu aktorów, nie zawsze wiemy też, kto naprawdę odgrywa w niej dużą rolę, a komu tylko chce się ją przypisać. Robert Telus twierdzi, że jest wrabiany w zemście za obronę polskiego rolnictwa przed zawarciem będącej dla niego śmiertelnym zagrożeniem umowy z Mercosur. I nie można wykluczyć, że faktycznie o sprawie rozmawiamy dlatego, że komuś akurat teraz Telus się naraził. Umowy z Mercosur też nie będziemy bronić dlatego, że jeden z jej przeciwników zdaje się kluczyć. Czy minister Telus kluczy? Wydaje się, że jego tłumaczenia nie do końca przekonują zarówno sporą część elektoratu, jak i przychylne Prawu i Sprawiedliwości media. Istotnym elementem układanki są też instytucje – Wody Polskie i Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Urzędy obsadzane z klucza partyjnego, więc dziś mające zupełnie inne kierownictwo niż w kluczowym dla tematu momencie. Mamy wreszcie CPK i Dawtonę, których interesy okazały się sprzeczne, zderzając się na feralnej działce w Zabłotni pod Grodziskiem Mazowieckim.

Dziwna sprzedaż

Dawtona to polska firma rodzinna z Błonia działająca od 1991 roku. Kojarzona głównie z przetwórstwem pomidorów, oferująca też produkty z wielu innych owoców i warzyw produkowanych lokalnie. Działka w Zabłotni nie należy bezpośrednio do firmy, a do jej wiceprezesa Piotra Wielgomasa, wcześniej jej wieloletniego dzierżawcy, właśnie z tytułu dzierżawy posiadającego prawo pierwokupu ziemi będącej w gestii Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. O wykup Wielgomas starał się już od 2008 roku, jednak z wielu powodów nie było to możliwe. W 2021 roku na przykład Wody Polskie uznały, że działka jest miejscem cieku wodnego, a śródlądowe wody płynące nie mogą być obiektem obrotu cywilnoprawnego. Jednak później stanowisko to uległo zmianie. Minister Telus twierdzi, że działo się to bez jego udziału, według przewidzianych urzędowym rytmem procedur. Nie wszyscy jednak w to wierzą, ponieważ jako szef resortu rolnictwa polityk często spotykał się z przedstawicielami Dawtony, a w kampanii wyborczej wykorzystywał wyprodukowaną specjalnie na tę okazję linię produktów firmy jako gadżet wyborczy. Jednak najważniejszy politycznie wątek sprawy dotyczy znaczenia przedmiotowego terenu dla CPK, sztandarowej inwestycji rządu Prawa i Sprawiedliwości, a zarazem jednego z kluczowych punktów obecnego programu tego ugrupowania i być może największego jego politycznego i wizerunkowego aktywu. Telus został zawieszony w partii jeszcze tego samego dnia, podobny los spotkał również jego zastępcę, odpowiedzialnego za sprzedaż działki Rafała Romanowskiego. Czy mamy do czynienia z aferą, pozostaje w sferze domysłów, jednak to, że doszło do co najmniej dużej politycznej niezręczności, pozostaje faktem. Oliwy do ognia dolewa też moment, w którym doszło do transakcji, zawarto ją bowiem w bardzo krótkim okresie funkcjonowania powyborczego gabinetu Mateusza Morawieckiego jesienią 2023 roku, już po przegranych przez PiS wyborach. W kolejnych oświadczeniach Telus utrzymuje, że transakcja odbyła się bez jego wiedzy, a relacje z Dawtoną wynikały jedynie z pełnienia przez niego obowiązków i służyć miały m.in. rozwiazywaniu kryzysów na rynku warzyw i owoców.

> WODY POLSKIE UZNAŁY, ŻE DZIAŁKA JEST MIEJSCEM CIEKU WODNEGO, A ŚRÓDLĄDOWE WODY PŁYNĄCE NIE MOGĄ BYĆ OBIEKTEM OBROTU CYWILNOPRAWNEGO. JEDNAK PÓŹNIEJ STANOWISKO TO ULEGŁO ZMIANIE.

Przez lata PiS wypracowało sobie oparty na słabości konkurencji sposób wychodzenia z wizerunkowych kłopotów. Polegał on na rozszerzaniu zbioru osób, na które kierowała się uwaga opinii publicznej. Są pretensje o premie dla ministrów? Przyjrzyjmy się zarobkom wszystkich polityków, również samorządowców. Media chcą stworzyć wrażenie, że coś było nie tak z zakupem działek przez premiera? Prześwietlamy majątki wszystkich polityków i ich rodzin. Antyklerykalnym filmem o pedofilii główny

eprasa.pl e719c8288f

nurt uderza w Kościół, by skompromitować całą stronę konserwatywną? Powołujemy komisję badającą to zjawisko we wszystkich grupach społecznych i zawodowych. Mechanizm ten przestał działać na wysokości rzekomej afery wizowej, która do dziś, choć nie potwierdziły jej nawet działania kontrolne dzisiejszych władz i parlamentu, negatywnie wpływa na wizerunek Prawa i Sprawiedliwości. W przypadku afery związanej ze sprzedażą działki sytuacja może, ale nie musi, rozwinąć się starym trybem. Okazuje się bowiem, że o ile historia zaczyna się za PiS, gdzie mamy deklaracje ministra Telusa przeciwko słowu jego następców i wspomnianym wyżej wątpliwościom, to wcale 13 grudnia 2023 roku się nie kończy.

> MOŻNA BY POMYŚLEĆ, ŻE SKORO OBECNA WŁADZA NA TACY DOSTAJE TAK NOŚNY I KŁOPOTLIWY DLA PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI TEMAT, CAŁA POLSKA ŻYĆ BĘDZIE NIM MIESIĄCAMI.

Wina po obu stronach

Można by pomyśleć, że skoro obecna władza na tacy dostaje tak nośny i kłopotliwy dla Prawa i Sprawiedliwości temat, cała Polska żyć będzie nim miesiącami. Tymczasem pomimo płynących ze strony CPK prób zainteresowania obecnego szefa KOWR, posła PSL Henryka Smolarza tematem, do czasu publikacji tekstu Wirtualnej Polski nic się w tej sprawie nie działo. CPK zawiadomił również prokuraturę, lecz ta wszczęła śledztwo dopiero wtedy, gdy ukazał się już głośny tekst Szymona Jadczaka. Tymczasem w kolejnych dniach na portalu X dziennikarz ujawnił dość zastanawiającą chronologię zdarzeń, tym razem związaną z aktywnością obecnego szefa Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, a raczej – z jej brakiem. Według informacji Jadczaka 18 września Smolarz spotkał się z Piotrem Wielgomasem. Działo się to tydzień po przesłaniu z redakcji Wirtualnej Polski pytań do Ośrodka i pięć dni po tym, jak z zastępcą jego szefa spotkali się przedstawiciele CPK. Jednak według Henryka Smolarza sprawa wykupu działki w ogóle nie była tematem rozmów ze współwłaścicielem Dawtony. Panowie rozmawiać mieli na temat kukurydzy. Zachowanie kierowanej przez polityka PSL instytucji w kwestii CPK jest zastanawiające. „Mimo zmiany władzy polityka KOWR wobec budowy CPK właściwie się nie zmieniła. Zirytowany obstrukcją rolniczej agencji zarząd CPK pod koniec 2024 r. żąda, żeby Smolarz zorganizował spotkanie z Piotrem Wielgomasem, wiceprezesem firmy Dawtona, któremu w grudniu 2023 r. sprzedano ziemię. Smolarz milczy, ignoruje cztery kolejne pisma w tej sprawie” – pisze Jadczak. W kolejnych wypowiedziach Smolarz tłumaczy, że nie czytał wysyłanych w swoim imieniu pism, a w jego obronie w równie pokrętny sposób wypowiada się minister rolnictwa Stefan Krajewski z tej samej partii. „Czy Wy w tym PSL naprawdę macie Polaków za idiotów? I będzie nas pan Stefan Krajewski drugi tydzień okłamywał w obronie kolegi, aż się w końcu Tusk wścieknie?” – pyta Jadczak, najwyraźniej zirytowany kolejnym etapem przerzucania odpowiedzialności i używania rzekomej niewiedzy jako wytłumaczenia. Jakby tego wszystkiego było mało, polityk w ogóle nie powinien być szefem KOWR, ponieważ jest to funkcja, której w myśl przepisów nie można łączyć z mandatem posła. Tym samym afera staje się współdzielona, a różnica w poziomie reakcji wychodzi na korzyść PiS. Pomimo standardowo wykrętnie brzmiących usprawiedliwień doczekaliśmy się partyjnych zawieszeń zamieszanych w sprawę działaczy.

> PiS OBCIĄŻA SAMA DECYZJA O SPRZEDAŻY I TO POZOSTANIE RACZEJ FAKTEM BEZSPORNYM. BAGAŻ PO STRONIE KOALICJI 13 GRUDNIA ZDAJE SIĘ NATOMIAST WCIĄŻ ROSNĄĆ W OCZACH.

Zaorać CPK

PiS obciąża sama decyzja o sprzedaży i to pozostanie raczej faktem bez-

eprasa.pl e719c8288f

spornym. Bagaż po stronie Koalicji 13 grudnia zdaje się natomiast wciąż rosnąć w oczach. Kolejne audyty ludzi Macieja Laska w CPK, które niczego nie wykazywały. Ignorowanie pism w KOWR. Fałszywe informacje o śledztwie, a także o warunkach umowy. Opinii publicznej początkowo przedstawiono wersję, że działki nie można odkupić, choć państwo zastrzegło tę możliwość na dość korzystnych warunkach, co z kolei według PiS załatwia sprawę, co też nie do końca jest prawdą. Spotkanie Smolarza z Wielgomasami w najgorętszym momencie przed publikacją artykułu WP bardzo przypomina podobne zbiegi okoliczności w terminarzu Roberta Telusa. Wszystko to sprawia, że nowa władza nie może przedstawić się jako siła sprawiedliwa i naprawiająca patologie wykreowane przez poprzedników. Wręcz przeciwnie, wyraźnie używa afery do zaatakowania kolejny raz całej idei centralnego Portu Komunikacyjnego. Donald Tusk rozwija skrót CPK jako „cały PiS kradnie", dodając, że dziś mówią tak wszyscy w Polsce. Premierowską generalizację natychmiast podchwytują zwolennicy rządu, z reguły przeciwni budowie. Zapowiada się zmianę nazwy, którą większość obserwatorów wprost traktuje jako koniec całego projektu, na pewno zaś sygnał, że dojdzie do jego kolejnych ograniczeń. Opóźnienia i tak przecież rosną, w sprawie składania pism dotyczących kolejnych zgód niezbędnych dla budowy panuje cisza, a jedyne, z czym zaangażowane agendy państwa zdają się spieszyć, to przetargi na pociągi dużych prędkości. Te same, które wykluczają polskich producentów, równocześnie odcinając od potencjalnej sieci nowych połączeń mniejsze miejscowości. Według najnowszych informacji bezpośredniego dojazdu kolejowego do CPK nie będzie mieć ani Kraków, ani aglomeracja śląska, nie planuje się bowiem budowy odpowiedniego łącznika.

Gniew konsumentów

Wygranym sprawy na pewno nie jest też firma Dawtona. Chęć dobrego życia z każdą ze stron doprowadziła ją do sytuacji, w której przedsiębiorcy obrywają z każdego kierunku. Kto bliżej ma do Koalicji Obywatelskiej czy PSL, skupia się w tworzeniu przekazów na podkreślaniu dobrych relacji rodziny Wielgomasów z Robertem Telusem i jego resortem. Komentatorzy nowej władzy niechętnie zwracają uwagę na fakt, że ta sama firma występowała choćby wśród sponsorów Kampusu Polska Rafała Trzaskowskiego, a uczestnicy ostatniej, skromniejszej edycji, nagrywali filmy, w których dziękują Dawtonie za musy i desery. Oczywiście tak samo jak gadżety dla Telusa, sprofilowane i ozdobione odpowiednią identyfikacją graficzną. Niektórzy idą dalej i przypominają, że córka założyciela firmy reprezentowała Polskę na Eurowizji z ramienia TVP w likwidacji, a jej awans do konkursu odbył się w dość kontrowersyjnych okolicznościach. Ponieważ rzecz opiera się na plotkach, ograniczymy się tu do wspomnienia o samym fakcie. Łatwy do odnalezienia mem z tamtych czasów opatrzony logo firmy i komentarzem: „Nieważne, kto jak głosuje, ważne, kto rozdaje komisji liczącej głosy musy owocowe", pokazuje jednak, jakie panowały wówczas nastroje. Nie chcę tu w żaden sposób przesądzać o tym, czy w którejś z problematycznych spraw firmie można coś zarzucić, czy po prostu pada ofiarą swojego modelu relacji z osobami decyzyjnymi w państwie. Dziś znajdziemy apele do bojkotu jej produktów, płynące i ze strony twardych zwolenników PiS, jak i radykalnych sympatyków Platformy. Zapewne jednak żaden z tych apeli nie przełoży się na faktyczną kondycję ważnej na mapie polskiego przetwórstwa firmy.

> WEDŁUG NAJNOWSZYCH INFORMACJI BEZPOŚREDNIEGO DOJAZDU KOLEJOWEGO DO CPK NIE BĘDZIE MIEĆ ANI KRAKÓW, ANI AGLOMERACJA ŚLĄSKA.

Pozostaje pytanie, czy sprawa skończy się bezboleśnie dla polityków? PiS na sprawie traci wizerunkowo, jednak wyborca oczekujący budowy CPK nie ma w polityce alternatywy. Platforma tej inwestycji nie chciała nigdy, a choć partie prawicowe spod szyldu obu Konfederacji chcą sytuację wyzyskać politycznie, ich liderzy też mają tu niejedno na sumieniu. Sławomir Mentzen niedawno bardzo krytykował jakiekolwiek inwestycje z udziałem państwa, a Grzegorz Braun przed laty zasłynął z dość karkołomnych teorii na temat prawdziwego przeznaczenia lotniska. Czy więc ostatecznie w sondażach wszystko zostanie po staremu? To pokażą kolejne tygodnie, podobnie jak to, czy ktokolwiek pójdzie po rozum do głowy w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz KOWR. Na razie trudno się jednak tego spodziewać.

eprasa.pl e719c8288f

Gotowi na cyrograf, by obalić Tuska

Na Nowogrodzkiej ukuto, wydaje się, wręcz diabelski plan. Ma on zakładać wymianę premiera i przyspieszone wybory. Dla tego celu Prawo i Sprawiedliwość jest gotowe na polityczny cyrograf z Konfederacją, z którą dziś dzieli partię Jarosława Kaczyńskiego na prawicy **ogromna przepaść**. Choć dziś ten scenariusz wydaje się mało realny, to daje PiS-owi przewagę w grze o rząd dusz na prawicy.

Andrzej Gajcy

Ta hipoteza wydaje się wręcz surrealistyczna, ale w polityce, bardziej jeszcze niż w życiu, obowiązuje zasada: nigdy nie mów nigdy. Na pierwszy rzut oka jakikolwiek uczuciowy związek polityczny Konfederacji z Prawem i Sprawiedliwością wydaje się dziś absolutnie nierealny. Wzajemne ataki są intensywne, a ideologiczne i programowe różnice – choć dla cynicznego polityka do pominięcia – są silne. Mimo to w kuluarach Nowogrodzkiej narodzić się miał pomysł o „małżeństwie z rozsądku". Jego jedynym celem, a zarazem jedynym spoiwem, miałaby być realna szansa na wymianę premiera i obalenie rządu Donalda Tuska.

Małżeństwo z gwarancją rozwodu

Plotka głosi, że na Nowogrodzkiej wymyślono plan, którego powodzenie już na samym początku oceniano jako dalece wątpliwe, ale mogące przynieść wymierny zysk polityczny. Otóż prezes Kaczyński ma być tym, który gotów jest rozmawiać o zmianie premiera i przedterminowych wyborach z liderami Polski 2050, PSL, a nawet – lub przede wszystkim – Konfederacji. Lecz nie przychodzi jako gołąb pokoju, a raczej jako jastrząb, który wyruszył na polowanie. – Jeżeli nie będzie innego wyjścia, to zrobimy koalicję z Konfederacją, żeby Tusk nie przyszedł do władzy – otwarcie deklarował ostatnio wiceszef PiS Patryk Jaki. To ma być istota „cyrografu": krótki, celowy sojusz, który ma być szybko skonsumowany i równie szybko zakończony. Jeśli by do takiego związku doszło, rozwód jest więcej niż pewny, i to w ciągu roku albo i dwóch.

Na ten moment jednak to tylko pobożne życzenia wypowiadane przez polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy bardzo by chcieli właśnie takiego scenariusza. Bo prawda jest taka, że wielu z nich już wręcz przebiera nogami, wieszcząc zbliżający się koniec epoki rządów Tuska, by powrócić na „białym koniu" do władzy. Przede wszystkim po to, by móc skutecznie ścigać i zamykać tym razem Donalda Tuska, Waldemara Żurka oraz Adama Bodnara.

> CZY DZIŚ JEST MOŻLIWY POLITYCZNY ZWIĄZEK MIĘDZY PIS I KONFEDERACJĄ, KTÓRY MÓGŁBY DOPROWADZIĆ DO WYMIANY PREMIERA?

Lekcja z 2023 roku niewyciągnięta?

Główny problem jednak w tym, że PiS zdaje się kompletnie nie ro-

zumieć, dlaczego po wygranych wyborach w 2023 roku musiało przejść do opozycji. „To był największy strategiczny błąd prezesa Kaczyńskiego” – mówi się do dzisiaj na Nowogrodzkiej. A ten polegał na obrażaniu się na liderów innych ugrupowań i skłócaniu się z nimi, co skutecznie zamknęło partii Jarosława Kaczyńskiego drogę do jakiejkolwiek koalicji, która by mogła stworzyć nowy rząd.

Obecna „wojenka” z Konfederacją i Sławomirem Mentzenem to nic innego jak powtórzenie tego samego scenariusza. Każdy nowy tydzień to nowa awantura między obiema partiami. Lecz to Konfederacja na niej zyskuje, a PiS traci. Dlaczego? Bo Konfederacji utrzymywanie, a wręcz rozpalanie tego konfliktu po prostu się opłaca – zyskuje na wiarygodności jako opozycja „antysystemowa”, krytykująca zarówno Tuska, jak i poprzednie rządy PiS. Dla PiS może to mieć dramatyczne konsekwencje, czego Jarosław Kaczyński zdaje się kompletnie nie rozumieć.

A Sławomir Mentzen nie bierze jeńców i wraz ze swoimi współpracownikami każdego dnia zadaje PiS celne – co trzeba przyznać – ciosy, które uderzają w wiarygodność i uczciwość partii Kaczyńskiego. Jak choćby w głośnej sprawie działki pod budowę CPK. „Władze PiS są

KAŻDY NOWY TYDZIEŃ TO NOWA AWANTURA MIĘDZY OBIEMA PARTIAMI. LECZ TO KONFEDERACJA NA NIEJ ZYSKUJE, A PiS TRACI. DLACZEGO?



Fot. Adobe Stock

oburzone tym, że o wałku Roberta Telusa z działkami dowiedziały się z mediów". Dlatego Telus został zawieszony. Zgubiła go pazerność. Gdyby przyszedł wcześniej, uczciwie podzielił się kasą, włos by mu z głowy nie spadł. Niektórzy muszą się od Łukasza Mejzy jeszcze wiele nauczyć! Ktoś mógłby w tym miejscu stwierdzić: nic dodać, nic ująć.

A tej trudnej prawdy nikt w PiS przyjąć nie chce. Ten fakt potwierdza choćby uruchomiona przez kierownictwo PiS partyjno-medialna maszyna. Ostatnio zarzuca Konfederacji, że ta chce zawrzeć sojusz z Koalicją Obywatelską, a głównym celem ataków jest Sławomir Mentzen, który miał rzekomo osobiście spiskować z Donaldem Tuskiem w Sopocie czy w innym miejscu. I choć oficjalnie Mentzen i inni politycy Konfederacji te plotki dementowali, to czołowi politycy PiS prześcigają się w promowaniu takiego właśnie przekazu oraz w kąśliwych uwagach: Mentzen ma „gówniarski uśmiech" i „zerwało mu beret", jest „potężnie sfrustrowany", „nic nie robi, tylko się zajmuje PiS-em", a mógłby poczytać trochę książek, to by zmądrzał.

ZAMIAST BUDOWAĆ MOSTY, PiS ORIENTUJE SIĘ NA DRUGIEGO PRZYWÓDCĘ KONFEDERACJI – KRZYSZTOFA BOSAKA, KTÓREGO NA NOWOGRODZKIEJ TRAKTUJE SIĘ JAKO „BARDZIEJ RACJONALNEGO".

Ponadto do mediów przeciekł tzw. partyjny przekaz dnia, czyli regularnie wypuszczane główne tezy na dany temat, które politycy danej partii powinni powtarzać w rozmowach z dziennikarzami czy w mediach społecznościowych. A można było ostatnio w nich przeczytać mniej więcej tak: aby zwracać uwagę na to, że Konfederacja „ma odegrać rolę nowej Trzeciej Drogi, aby konserwować wpływy Tuska i jego ludzi". Politycy powinni również zaznaczać, że „Mentzena cechuje zmienność poglądów – jest niepoważny i niewiarygodny".

SŁAWOMIR MENTZEN NIE BIERZE JEŃCÓW I WRAZ ZE SWOIMI WSPÓŁPRACOWNIKAMI KAŻDEGO DNIA ZADAJE PiS CELNE – CO TRZEBA PRZYZNAĆ – CIOSY, KTÓRE UDERZAJĄ W WIARYGODNOŚĆ I UCZCIWOŚĆ PARTII KACZYŃSKIEGO.

„Przestańcie kłamać, to powiemy mniej prawdy"

Sławomir Mentzen, świadomy celowości tych ataków, ripostuje z bezwzględną precyzją, nie owijając w bawełnę: „Codziennie to samo. Rano pisowcy idą do mediów [...], żeby kłamać, manipulować, obrażać mnie i Konfederację, zgodnie ze swoim zakłamanym przekazem dnia. [...] Mam dla was propozycję. Przestańcie kłamać na mój temat, to będę rzadziej miał okazję mówić o was prawdę".

I dodaje przy tym, że to, iż krytykuje rządy PiS, nie stawia go na równi z byciem zwolennikiem rządu Donalda Tuska i KO i będzie konserwował wpływy. – Tak jak „tuskowcy" kłamią, że jestem dogadany z PiS-em, tak pisowcy kłamią, że coś z Tuskiem ustalam – zapewnia lider Konfederacji.

Wydaje się, że znowu Mentzen ma tutaj rację. Co więcej, w partii Kaczyńskiego są także tacy politycy, którzy widzą, że tego typu narracja bardziej szkodzi, niż pomaga, stając się pretekstem do kolejnych ataków. Pojawiać się mają także głosy, że Nowogrodzka ma nie rozumieć, że tymi atakami na Konfederację naraża partię na śmieszność i rozmija się z oczekiwaniem wyborców. A te mają coraz bardziej wskazywać na to, by PiS dogadało się z Konfederacją lub by przynajmniej doszło do „zawieszenia broni".

Jednak takie podejście to wciąż mniejszość w PiS. A dominującym dziś nurtem ma być ten, by spróbować dogadać się z Konfederacją, omijając Mentzena. „Sławek nam

eprasa.pl e719c8288f

i tak nie daruje i nie zapomni, to pewne bardziej niż w banku. Gdyby nie on, łatwiej byłoby się dogadać" – słychać nieoficjalnie od ważnych polityków PiS.

To myślenie jest w PiS dziś niemal powszechne – podobnie ma uważać sam prezes Kaczyński. I tu na jaw wychodzi frakcyjne myślenie, prowadzące jednak dziś tylko na manowce. Zamiast budować mosty, PiS orientuje się na drugiego przywódcę Konfederacji – Krzysztofa Bosaka, którego na Nowogrodzkiej traktuje się jako „bardziej racjonalnego". „Z Bosakiem moglibyśmy tworzyć nawet rząd. Z nim się dogadamy, choć łatwo nie będzie. Problemem jest Mentzen" – mówią politycy PiS.

Hołownia i Kosiniak-Kamysz kluczem do „zamachu" na Tuska

Wracając do początkowej surrealistycznej hipotezy: czy biorąc powyższe rozważania pod uwagę, dziś jest możliwy polityczny związek między PiS i Konfederacją, który mógłby doprowadzić do wymiany premiera? I tu pewna niespodzianka. Wbrew tym faktom i logice politycy obu partii publicznie przyznają: jesteśmy gotowi podpisać ten cyrograf. – Jesteśmy w stanie podpisać cyrograf z każdym, by umożliwić wymianę premiera – mówił publicznie szef klubu parlamentarnego Konfederacji Grzegorz Płaczek. Ze strony PiS tożsamą deklarację złożył wiceprezes Przemysław Czarnek, dodając jeden istotny w całym tym planie szczegół: PiS i Konfederacja to dziś wciąż za mało, by wywrócić ten polityczny stolik.

I Czarnek ma tutaj absolutną rację. Nie bez znaczenia w tym kontekście była także deklaracja innego wiceprezesa PiS Tobiasza Bocheńskiego, która przeszła medialnie w zasadzie niezauważona. Stwierdził on, że prezes Kaczyński chce rozmawiać o zmianie premiera i przyspieszonych wyborach także z liderami PSL i Polski 2050.

Lecz czy Szymon Hołownia lub Władysław Kosiniak-Kamysz zechcą na ten temat rozmawiać? Absolutnie nic na to nie wskazuje.

> KONFEDERACJI UTRZYMYWANIE, A WRĘCZ ROZPALANIE KONFLIKTU PO PROSTU SIĘ OPŁACA – ZYSKUJE NA WIARYGODNOŚCI JAKO OPOZYCJA „ANTYSYSTEMOWA", KRYTYKUJĄCA ZARÓWNO TUSKA, JAK I POPRZEDNIE RZĄDY PiS.

Hołownia, sparzony wcześniejszymi spotkaniami z ludźmi PiS i mający w pamięci rozmowy w domu Adama Bielana, nie zaryzykuje, że ludzie Kaczyńskiego ponownie „wsadzą go na minę", by w mediach opowiedzieć, jak to zdradza Tuska. Z kolei lider PSL, w obliczu zbliżających się wyborów władz swojego ugrupowania, tym bardziej unikać będzie rozmów, które mogłyby zaszkodzić jego wizerunkowi. PiS robi więc dobrą minę do złej gry – próbuje, ale podobno nie wychodzi nawet umówić się na spotkanie w formacie przywódców partii, co przyznają po cichu niektórzy wpływowi politycy Prawa i Sprawiedliwości. A bez choć jednego z nich cały plan jest misją nie do wykonania. I PiS o tym wie.

Cena cyrografu: ABW i fotel premiera

Ale jeśli nawet jakimś cudem Polska 2050 czy PSL chciałyby obalić rząd Donalda Tuska, problemem nie do przeskoczenia może okazać się cena, za jaką Konfederacja zgodziłaby się na ten sojusz z PiS. A ta z pewnością byłaby wysoka. Przemysław Wipler, pytany o to niedawno, nie owijał w bawełnę: Konfederacja nie może wejść w koalicję z partią, która nie da jej kontroli nad Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Co więcej, w fotelu premiera widziałby albo Sławomira Mentzena, albo Krzysztofa Bosaka.

Jeśli liderzy Konfederacji rzeczywiście tak wysoko już teraz licytują, to PiS-owi nie jest do śmiechu. Jest to bowiem warunek, na który prawdopodobnie nie zgodziłyby się nikt.

Zatem o co może chodzić w tym wszystkim? Najprostszą odpowiedzią jest ta: o zdobycie przewagi w walce o rząd dusz na prawicy. Medialnie cały ten plan jest atrakcyjny i sprawnie rozgrywany może okazać się jakimś sukcesem. A przy okazji może wydarzy się jakiś cud, którego PiS naprawdę potrzebuje, jeśli chce doprowadzić do wcześniejszych wyborów niż te w 2027 roku.

eprasa.pl e719c8288f

2029, czyli strach

Bez względu na to, czy próba zniesienia ograniczenia kadencji samorządowców do dwóch zostanie istotnie podjęta (gdy piszę ten tekst, Lewica i Polska 2050 wciąż się wahają), już samo pojawienie się tej inicjatywy mówi sporo o polskiej polityce. Przy czym idzie przede wszystkim o jego **wstępne poparcie** (nawet jeśli na skutek oporu materii zostanie wycofane) przez Donalda Tuska i KO.

Piotr Skwieciński



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e719c8288f

Dlaczego to wszystko jest tak ważne? Przede wszystkim dlatego, że choć to centralna polityka ogniskuje przeważającą część związanych ze sferą publiczną emocji Polaków, to tak naprawdę samorządy odgrywają u nas pod pewnym względem istotniejszą rolę. Kierują bowiem w różne koryta większe niż władze centralne strumienie pieniędzy. Przy czym mają tu większą niż rząd swobodę decyzyjną. Bo wszyscy obserwatorzy, w tym media (w Warszawie wciąż egzystujące realniej niż gdzie indziej), przyglądają się samorządom mniej bacznie niż centrum państwa. M.in. dlatego dokonanie, mówiąc kolokwialnie, przewału na kontrakcie na poziomie samorządowym jest znacznie łatwiejsze niż na poziomie centralnym. Nie tylko przewału. W ogóle naruszenie jakichkolwiek przepisów jest „w terenie" mniej ryzykowne niż w centrum.

Nie tylko ze względu na media. Również dlatego, iż polaryzacja dotyka „terenu" wciąż w mniejszej mierze. Stopień zblatowania aktywnych w samorządach sił, ich powiązań między sobą rozmaitymi dealami jest więc tam nadal wyższy niż w Warszawie. A w związku z tym również polityczni konkurenci są mniej niż w centrum skłonni do wzajemnego demaskowania. Dziś ja tobie, jutro ty mi...

Również odsetek Polaków zależnych od samorządów jest znacznie większy niż zależnych od władz centralnych. Bo – po pierwsze – liczba pracowników samorządów wszystkich szczebli wielokrotnie przewyższa liczbę zatrudnionych w administracji centralnej. Ci pracownicy i ich rodziny są oczywiście bardziej niż przeciętna podatni na wszelkie polityczne sugestie kierownictwa.

Po drugie zaś, jeszcze większa jest liczba obywateli, na których codzienne bytowanie bezpośrednio wpływają decyzje podejmowane przez samorząd. Komunikacja, budownictwo i lobby deweloperskie, sprzedaż alkoholu – to domena bardziej samorządów niż władz centralnych. Te, owszem, coś tu mogą, ale częściej pośrednio. Samorządy decydują zaś w tych sprawach bezpośrednio.

Wszystko to daje pojęcie o wielkości stawki.

Prawica nielokalna

W skali ogólnopolskiej liczba związanych z obecną koalicją tzw. włodarzy, tj. szefów jednostek samorządu, zdecydowanie przekracza analogiczną liczbę związanych z opozycją. Podobnie było, kiedy to na szczeblu centralnym rządziła na skutek werdyktu wyborców Zjednoczona Prawica – wówczas lokalnie, również wskutek werdyktu wyborców – rządzili jej przeciwnicy, dziś sprawujący także władzę rządową. W Polsce prawica ma większą łatwość wygrywania wyborów w skali krajowej niż lokalnej.

Dlaczego? Czy tematy ważne dla prawicy kojarzą się większości jako bardziej związane z polityką centralną niż lokalną? Czy lokalnie ośrodki i kandydaci antyprawicowi potrafią, wtedy kiedy przewagę w społeczeństwie mają postawy konserwatywne, skutecznie zacierać swą ideologiczną proweniencję? Czy może zjawisko krótkiej piłki, charakterystyczne dla prawicy, owocuje intensywniejszym niż w innych segmentach spektrum wyciąganiem najlepszych zajmujących się polityką prawicowców od razu na szczebel centralny? Tak czy inaczej większa skuteczność prawicy w wyborach ogólnopolskich niż lokalnych jest faktem.

> Choć to centralna polityka ogniskuje przeważającą część związanych ze sferą publiczną emocji Polaków, to tak naprawdę samorządy odgrywają u nas pod pewnym względem **istotniejszą rolę**.

Dochodzi do tego historyczna zaszłość. Platforma od swego powstania związana była z grupą silnych politycznie i „ukorzenionych" prezydentów dużych miast. Zjawisko to fluktuowało – dziś już niemal nikt nie pamięta, że ogłoszony świeckim świętym zamordowany prezydent Gdańska Paweł Adamowicz został w ostatnich latach życia i rządów wyplut przez Platformę, gdyż kierowane przeciw niemu przez media sugestie korupcyjne brzmiały dla zbyt wielu przekonująco. Na podobnym tle liberałowie zdecydowali o zakończeniu kariery Hanny Gronkiewicz-Waltz w Warszawie. Tym niemniej te lokalne kryzysy udało się obecnej partii rządzącej – i powiązanym z nią lokalnym elitom – zażegnać.

W tej sytuacji nie dziwi, iż PiS, od zawsze skonfliktowane z tymi środowiskami, w dodatku po wzięciu władzy w 2015 roku zetknąwszy się z ich wrogością, zaczęło próbować rozmaitych metod, aby ich znaczenie podważyć. W większości wypadków zresztą wycofując się, skonfrontowane ze sprzeciwem.

Również dwukadencyjność wzięła się z podobnych usiłowań. Pierwotnie proponowano ograniczyć liczbę kadencji rewolucyjnie, czyli wstecznie – wymusić odejście w zbliżających się wtedy wyborach tych (bardzo wielu) włodarzy, którzy zbliżali się do końca drugiej kadencji. Decyzja, by przyjąć to rozwiązanie dopiero na przyszłość, była kompromisem – nie tylko opozycja była przeciw działającemu wstecz ograniczeniu, również ministrowie Andrzeja Dudy sugerowali, że jeśli zostałoby ono

eprasa.pl e719c8288f

uchwalone, prezydent użyłby weta, i to zadecydowało o ograniczeniu przez PiS pierwotnych zamiarów.

Potencjał zmiany

Gdy ten kompromis zawierano w roku 2018, rok 2029 – do kiedy to odepchnięto moment, w którym dwukadencyjność zacznie działać realnie – wydawał się odległy. Dziś jest bliższy, rok temu dwie trzecie samorządowych włodarzy zaczęły drugą kadencję rozpoczętą po wejściu ustawy w życie – czyli ostatnią im dozwoloną. Innymi słowy – w 2029 roku dwie trzecie głów samorządów odejdzie ze stanowisk.

Za każdym stoi potężny lokalny układ interesów. Przy czym nie idzie tylko o biznes żyjący z włodarzami w symbiozie (przetargi, które można ustawiać pod konkretną firmę). Chodzi też o pracowników samorządów (i spółek samorządowych) zasiadających w radach. Personalny kształt samorządów, spółek i rad, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, przez lata kształtowali ci sami włodarze. Wszystko to dotąd czyniło ich niemal nieusuwalnymi. Nie dziwi zatem potężny sprzeciw wobec dwukadencyjności.

Nie zaskakuje też ostrożne, sondujące wsparcie, którego udzielił sprzeciwowi Donald Tusk. KO jest silnie związana ze światem samorządowym, zarówno przez należących do niej rządzących lokalnie polityków, jak i tych, którzy swego czasu poczuli się na tyle silni, że woleli dla potrzeb wyborczych stanąć na czele lokalnych, pozornie bezpartyjnych bytów, ale zachowali linki z partią.

Personalny kształt samorządów, spółek i rad, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, przez lata kształtowali ci sami włodarze. Wszystko to dotąd czyniło ich niemal **nieusuwalnymi**.

Najistotniejsza jest tu jednak nie tyle tożsamość pozytywna (czyli to, za kim jesteśmy), co negatywna (przeciw komu). Otóż w skali całego kraju większą część elit, centralnych i lokalnych, w tym samorządowych, spaja niechęć do mniejszej, tej PiS-owskiej części elit.

Przede wszystkim jednak – rok 2029 mógłby, niezależnie od wyborów w 2027 roku, przynieść przetasowania tak daleko idące, że być może osiągające skalę wywrócenia układu, w którym elity czują się komfortowo. I wybór Karola Nawrockiego, i kolejne sondaże wskazujące na osiągnięcie przez prawicę większości w elektoracie, ale przede wszystkim wyraźna fala prawicowych nastrojów wśród młodych pokazują istnienie potencjału zmiany. Odejście większości włodarzy w 2029 roku w oczywisty sposób będzie jej sprzyjać.

Dlatego próba zniesienia dwukadencyjności i pierwotne ostrożne przychylanie się do tej próby premiera nie zaskakuje. Co natomiast zaskoczyło (i co jest obecnie przedmiotem badań analityków i rządowych, i opozycyjnych), to ujawniony potencjał chęci zmiany również w elektoracie koalicji. W obronie dwukadencyjności wypowiedziało się aż 60 proc. ankietowanych wyborców KO, Polski 2050, Lewicy i PSL. Tusk musiał dostrzec, że silniejsze wejście w starcie o zniesienie dwukadencyjności może przynieść mu kłopoty z wyborcami.

Co z premierem?

Cała sprawa zaowocowała charakterystycznym szantażem zastosowanym przez PSL wobec innych partii. Mianowicie zgłoszeniem – w wypadku niezniesienia ograniczenia liczby kadencji włodarzy samorządowych – projektu wprowadzającego analogiczne ograniczenie wobec posłów. Biorąc pod uwagę wzbieranie w społeczeństwie potencjału zmiany (mającego, co trzeba zauważyć, również wymiar pokoleniowy), ale też zawsze silną wśród Polaków chęć złośliwego „dowalenia" politykom (przypomnijmy choćby, jak w czasie swych rządów, wbrew własnemu światopoglądowi, PiS poczuło się zmuszone do drastycznego ograniczenia i tak niewielkich zarobków własnych wiceministrów – czyli podstawowych koni roboczych wprawiających w ruch machinę państwa), ten postulat mógłby się spodobać.

Co charakterystyczne – w ogniu eskalowania dwukadencyjnych postulatów nikt dotąd nie zwrócił uwagi na oczywisty absurd najważniejszego polskiego ograniczenia tego rodzaju. Oto prezydent może sprawować urząd tylko dwie kadencje. Jest to kalka z systemu amerykańskiego, w którym prezydent naprawdę stoi na czele administracji, i danie mu możliwości kształtowania korpusu urzędników federalnych oraz wszystkich sfer, na które ma wpływ, przez dłuższy czas teoretycznie istotnie mogłoby być zagrożeniem dla demokracji.

Tylko że w Polsce prezydent nie ma takiej pozycji. Silniejszy od niego, również jeśli chodzi o możliwość budowy podporządkowanego mu układu, wykraczającego poza ramy administracji, jest premier. Ale o wprowadzeniu ograniczeń czasowych w sprawowaniu tej przecież naprawdę ważniejszej funkcji jakoś się nie mówi. Co nie dziwi – liderzy głównych partii nie są u nas zainteresowani piastowaniem godności prezydenta, chcą natomiast być premierami lub przynajmniej zachować sobie taką możliwość.

Warto dostrzec tę niekonsekwencję.

eprasa.pl e719c8288f

ŹRÓDŁA DUCHOWEGO UZDROWIENIA

Czy żyjemy w czasach ostatecznych? Czy zbliża się sąd Boży? Czy zjawiska, których dziś doświadczamy, są zapowiedzianymi od dawna znakami? Takie pytania coraz częściej rodzą się w sercach wierzących i poszukujących. Ks. prof. Robert Skrzypczak nie ucieka od nich – przeciwnie, prowadzi czytelnika ku źródłom nadziei, pokazując, że odpowiedzią Boga na dramat człowieka, także współcześnie, zawsze pozostaje Jego miłość i obecność w sakramentach. Centralnym motywem książki jest ukazanie ich niezwykłej mocy. To one są źródłem duchowego uzdrowienia, drogą do pojednania i miejscem spotkania człowieka z Bogiem. Eucharystia ukazana zostaje jako tajemnica oblubieńcza, spowiedź – jako wymóg szczęśliwego życia, chrzest – jako fundament tożsamości chrześcijanina, a sakramenty uzdrowienia – jako niezawodny dar łaski. W świecie nękanym kryzysem sensu i pustką właśnie sakramenty stają się niezniszczalnym ogniskiem nadziei.



328 str.,
110 ilustracji, 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa.

PREMIERA!



Zapraszamy do obejrzenia spotkań autorskich online na naszym kanale youtube.com/WydawnictwoBialyKruk

ZAMÓW:

bialykruk.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

www.bialykruk.pl

Dla czytelników „Tygodnika Solidarność” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl
i wykorzystaj kod rabatowy TS35

eprasa.pl e719c8288f

Wołyń na Powązki

– Milczenie na temat ludobójstwa na Wołyniu i całej Galicji Wschodniej trwało dziesięciolecia. Wiedza na temat rzezi wołyńskiej powinna stać się równie powszechna, jak wiedza na temat zbrodni katyńskiej – mówi **Zdzisław Żurowski**, jeden z ostatnich żyjących świadków ludobójstwa dokonanego na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.



Pomnik Polaków z Janowej Doliny



Fot. arch. Z. Żurowskiego (2)

– Urodził się Pan na Wołyniu w 1935 roku i był Pan świadkiem ludobójstwa dokonanego na tych terenach przez ukraińskich nacjonalistów. Miał Pan wówczas osiem lat.

– Tak, pochodzę z Równego, tam się urodziłem. Mój ojciec walczył w 1920 roku z bolszewikami i został wówczas ranny. W międzywojniu był prezesem Okręgu Równe Związku Inwalidów Wojennych. Kiedy 17 września 1939 roku rozpoczęła się okupacja sowiecka, wszyscy radzili mu, aby uciekał z Równego, ponieważ z pewnością jego nazwisko znajduje się na liście polskich obywateli przeznaczonych do likwidacji przez Sowietów. Ojciec posłuchał tej rady i wraz z całą naszą rodziną wyjechał do Janowej Doliny, gdzie mieszkała jego siostra, a wujek z kolei pracował tam na kopalni. Ojciec z początku obawiał się podejmowania pracy wymagającej podawania swoich danych, nie chcąc zostać zidentyfikowany przez sowieckie władze jako inwalida wojenny 1920 roku. Po trzech miesiącach zdecydował się podjąć pracę. Wiedział, że nowym dyrektorem kopalni został Rosjanin. Nie miał swoich urzędników znających język polski i ukraiński, poza oczywiście rosyjskim. Ojciec znał te języki. Wytłumaczył się, że musiał w 1920 roku iść do wojska i walczyć z Armią Czerwoną. Po wejściu Niemców na Wołyń okazało się, że nasza rodzina

widniała już w sowieckich dokumentach jako przeznaczona do wywózki na Sybir.

– Kto objął najważniejsze urzędy w administracji tamtych terenów po wejściu Niemców?

– Główne urzędy objęli Niemcy, ale lokalna władza była przez nich powierzona Ukraińcom. W mojej szkole dyrektorką została Ukrainka, która skończyła szkołę przed wojną we Lwowie. Miała wykłady, w których mówiła, że Warszawa i Kraków są polskie, a Lwów i Wołyń są ukraińskie. Było to jeszcze przed Jałtą.

– Jakie panowały wówczas relacje między Polakami a Ukraińcami?

– Z rówieśnikami bawiliśmy się normalnie do 1943 roku. Nie przejmowałem się specjalnie nawet wtedy, kiedy zaczęły się pochody z hasłami: „Śmierć Lachom, Żydom i sowiecko-moskiewskiej komunie, niech żyje samostijna [stanowiąca o sobie – przyp. red.] Ukraina!". Ja się tym wówczas nie martwiłem, ale już moja mama – owszem.

– Który to był rok?

– 1942. Pojawiały się już wówczas sygnały o pojedynczych mordach dokonywanych przez Ukraińców na Polakach, ale nikt nie myślał o tym, że to się przerodzi w jakieś systemowe działanie. W 1943 roku jednak zrobiło się już na tyle niebezpiecznie, że nasza szkoła została zamknięta. To było w lutym. I rzeczywiście, nie trzeba było długo czekać, nie minął tydzień czy dwa i w okolicznych wioskach zaczęły się mordy. Polacy, którym udało się stamtąd uciec, przyjeżdżali do Janowej Doliny, małego polskiego miasteczka robotniczego. Mieszkało tam ok. 3–4 tysięcy ludzi, stacjonowała tam także kompania niemiecka. Pamiętam rozmowy rodziców, którzy mówili o niedobitkach chłopów z polskiej wsi Półbieda z drugiego brzegu rzeki Horyń, którym udało się uciec przed rzeziami do Janowej Doliny. Jej mieszkańcy sądzili, że Polaków jest tam tak dużo, że Ukraińcy nie odważą się zaatakować tej miejscowości. Nad Horyniem leżała duża ukraińska wioska Złazne, z której przychodziły do Janowej Doliny Ukrainki sprzedawać chleb, mleko, masło czy inne produkty. Pamiętam, że kiedyś jedna z nich powiedziała do mojej mamy: „Pani Żurowska, utikaty, budut was rezaty [uciekajcie, będą was rzezać – przyp. red.]". Mama przekazała to ojcu, który zaczął ją uspokajać, że na pewno nic złego się nie stanie, bo w Janowej Dolinie mieszka przecież kilka tysięcy Polaków. Ojciec z wujkami zaczęli o tym rozmawiać i wspólnie stwierdzili, że to niemożliwe, żeby w Janowej Dolinie doszło do mordów. Ukrainka ze wsi Złazne przyszła jednak po tygodniu i powtórzyła to samo ostrzeżenie, co wcześniej. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że na tych terenach Niemcy stworzyli ukraińską policję do tłumienia miejscowych napięć. Była ona liczna i dobrze uzbrojona. Z czasem przeszła pod dowództwo UPA, a Ukraińcy, którzy nie chcieli się na to zgodzić, byli przez UPA zabijani. Armia ukraińskich nacjonalistów liczyła na tych terenach około 10 tysięcy ludzi. Sytuacja zrobiła się bardzo poważna, ludzie zaczęli uciekać. Znajomy szofer, Polak, kierowca ciężarówki, zabrał mamę, mnie i moje dwie siostry – trzyletnią i dziesięcioletnią – do Równego, które znajdowało się ok. 40 km od Janowej Doliny. Zabraliśmy tylko podstawowe rzeczy, reszta się potem spaliła. Mój ojciec został, pracował nadal w biurze kopalni w Janowej Dolinie. Zatrzymaliśmy się na przedmieściach Równego, u znajomych. Była

NA WARSZAWSKICH POWĄZKACH WOJSKOWYCH POWINIEN STANĄĆ POMNIK OFIAR RZEZI WOŁYŃSKIEJ. TO SZCZEGÓLNY CMENTARZ, KTÓRY MA SZCZEGÓLNE OBOWIĄZKI W OBSZARZE PAMIĘCI NARODOWEJ.

W 1943 ROKU ZROBIŁO SIĘ JUŻ NA TYLE NIEBEZPIECZNIE, ŻE NASZA SZKOŁA ZOSTAŁA ZAMKNIĘTA. NIE TRZEBA BYŁO DŁUGO CZEKAĆ, NIE MINĄŁ TYDZIEŃ CZY DWA I W OKOLICZNYCH WIOSKACH ZACZĘŁY SIĘ MORDY.

eprasa.pl e719c8288f

to Ukrainka, nazywała się Benediukowa. Miała zięcia Polaka, który pracował jako stolarz. Moja mama starała się znaleźć jakąś pracę. Czekaliśmy, jak rozwinie się sytuacja.

Niestety, w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek 1943 roku zobaczyliśmy z Równego wielką łunę, z kierunku, gdzie znajdowała się Janowa Dolina. Pamiętam, że mama i siostra płakały. Ta miejscowość była zbudowana na przełomie lat 20. i 30. Podmurówki domów były ceglane, ale już ściany budowano z drewna, z beli sosnowych z lasu wyciętego pod budowę miasteczka. Wszystko to bardzo łatwo się paliło, Ukraińcy polewali domy benzyną. Mój ojciec na szczęście przeżył, był bardzo wdzięczny mamie za to, że uparła się, żeby wyjechać, był przekonany, że inaczej byśmy zginęli. Ojciec wyskoczył z domu przez okno i ukrył się w krzakach przed Ukraińcami. Kiedy zaczęło robić się jasno, upowcy uciekli, ponieważ Niemcy zaczęli reagować na to, co się działo.

> JEDNA Z UKRAINEK ZE WSI ZŁAZY POWIEDZIAŁA DO MOJEJ MAMY: „PANI ŻUROWSKA, UTIKATY, BUDUT WAS REZATY [UCIEKAJCIE, BĘDĄ WAS RZEZAĆ]”.

– Ilu Polaków zginęło z rąk Ukraińców w Janowej Dolinie?

– 620 osób. Większość spłonęła bądź udusiła się dymem, część została zabita siekierami i nożami, część dzieci ponabijano na pale.

– Schodek z jednego ze spalonych domostw z Janowej Doliny został wkomponowany w krzyż upamiętniający zbrodnię wołyńską. Krzyż znajduje się na Powązkach Wojskowych w Warszawie, wciąż czekamy na pomnik. Niestety, prezydent stolicy wciąż jest opieszały w tej sprawie, mimo złożenia przez niego deklaracji, że „cmentarz na Powązkach jest gotowy, aby stać się godnym miejscem ich [ofiar ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów na Polakach – przyp. red.] spoczynku”.

– Tak, na warszawskich Powązkach Wojskowych powinien stanąć pomnik ofiar rzezi wołyńskiej. To szczególny cmentarz, który ma szczególne obowiązki w obszarze pamięci narodowej. To dobrze, że rocznica Krwawej Niedzieli 11 lipca została ustanowiona Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej, jednak nadal mamy wiele do nadrobienia. Milczenie na temat ludobójstwa na Wołyniu i całej Galicji Wschodniej trwało przecież dziesięciolecia. Wiedza na temat zbrodni wołyńskiej powinna stać się równie powszechna, jak wiedza na temat zbrodni katyńskiej. Pomnik wołyński na warszawskich Powązkach Wojskowych może stać się ważnym elementem przywracania pamięci o tamtej straszliwej zbrodni.

> MILCZENIE NA TEMAT LUDOBÓJSTWA NA WOŁYNIU I CAŁEJ GALICJI WSCHODNIEJ TRWAŁO DZIESIĘCIOLECIA. WIEDZA NA TEMAT ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ POWINNA STAĆ SIĘ RÓWNIE POWSZECHNA, JAK WIEDZA NA TEMAT ZBRODNI KATYŃSKIEJ.

– Zwłaszcza że pamięć o niej jest nadal zakłamywana, a w Janowej Dolinie [dziś: Bazaltowe – przyp. red.], znajduje się pomnik UPA, w którym ludobójstwo dokonane na Polakach nazwane zostało „akcją bojową likwidacji polsko-niemieckich okupantów Wołynia”. Widnieje tam także napis: „Sława Ukrainie – hierojam sława”.

– W Janowej Dolinie stoi pomnik – krzyż zbudowany w 1998 roku przez zaangażowanych Wołyniaków, szczególnie mieszkańców powiatu kostopolskiego. Mimo interwencji Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej niestety nadal stoi tam pomnik UPA postawiony przez Ukraińców w 2017 roku. Na pomniku umieszczony został haniebny napis wychwalający „bojową akcję likwidacji polsko-niemieckich okupantów Wołynia”. Wołyniacy jeżdżący tam są tym faktem oburzeni, Ukraińcy na to nie reagują, a polskie władze tłumaczą, że niewiele mogą zrobić z uwagi na obecną sytuację polityczną.

eprasa.pl e719c8288f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Ziobro jak Eichmann?

Kilka dni temu obecny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek sugerował, że za byłym ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą mogliby ruszyć tzw. łowcy cieni, czyli specjalni funkcjonariusze policji wyszkoleni do ścigania niebezpiecznych zbiegów.

Minister Żurek („Niezły ten żurek, co? I będzie jeszcze drugie danie i deser” – pochwali Donald Tusk) zdaje się realizować scenariusz nakreślony przez profesora Wojciecha Sadurskiego. Ten przychylny koalicji Tuska prawnik stwierdził, że w przypadku uzyskania przez ministra Ziobrę azylu politycznego na Węgrzech polskie służby powinny uprowadzić go, tak jak w przeszłości izraelskie służby porwały z Argentyny niemieckiego, nazistowskiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna.

Prof. Sadurski wpisał się z kolei w koncepcję niemieckiego politologa i publicysty Klausa Bachmanna, aby w Polsce „demokrację przywracać metodami niedemokratycznymi”. Potem Bachmann zasłynął kolejnym stwierdzeniem: dla załatania dziury budżetowej Tusk powinien dobrać się do rezerw Narodowego Banku Polskiego, czego warunkiem jest usunięcie prezesa prof. Adama Glapińskiego.

Ale wróćmy do Sadurskiego i Eichmanna. Niemieckiego zbrodniarza, który po wojnie uciekł do Argentyny, izraelski Mosad dopadł w 1960 r. Wysłani agenci zatrzymali Eichmanna, gdy ten z autobusu szedł do swojego domu na odludziu. Funkcjonariusze przetrzymywali SS-mana przez osiem dni w specjalnie przygotowanym lokalu, a następnie odurzonego narkotykami przewieźli samolotem linii El Al do Izraela.

Jakie były zarzuty wobec niemieckiego zbrodniarza? Do głównych należało oskarżenie o zbrodnie przeciwko ludności żydowskiej: „W latach 1939–1945, wspólnie z innymi, przyczynił się do śmierci milionów Żydów jako osoba, która była odpowiedzialna za wdrażanie planu nazistów o fizycznym wyniszczeniu Żydów znanego pod nazwą Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Żydowskiej”. W ramach zbrodni przeciwko ludzkości znalazło się m.in. „oskarżenie o zabójstwa, ludobójstwo drogą pozbawiania wszelkich praw, głodzenia i wysiedlania żydowskiej ludności cywilnej”. Z kolei w punkcie o zbrodniach przeciwko innym narodowościom wymieniono „zbrodnię przeciwko ludzkości polegającą na deportacji w latach 1940–1942 w nieludzkich warunkach ok. 500 tys. Polaków i wyzyskiwanie ich w pracy w warunkach niewoli, przymusu i terroru na terenie Niemiec oraz na terytoriach okupowanych, w tym w obozach pracy zorganizowanych przez SS, gdzie były nieludzkie warunki, oraz przymusową germanizację niektórych, a także wprowadzenie niemieckich osadników do pozostawionych przez nich domów”.

Sąd uznał, że Eichmann jest „wrogiem gatunku ludzkiego”: ludobójcą, fanatycznym antysemitą, głęboko zaangażowanym w proces „Ostatecznego Rozwiązania”, gorliwym SS-manem. Wyrok wykonano o północy z 31 maja na 1 czerwca 1962 r. Ciało zbrodniarza spalono w specjalnie przygotowanym krematorium niedaleko plaży, a prochy rozrzucono nad międzynarodowymi wodami Morza Śródziemnego.

Reprezentujący Koalicję 13 grudnia Waldemar Żurek postawił Zbigniewowi Ziobrze 26 zarzutów, wraz z tym najcięższym: kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą...

eprasa.pl e719c8288f

La Casa de SOLIDARNOŚĆ

Konrad Wernicki



Kiedy myślimy o polskim przemyśle lotniczym, a w szczególności tym zbrojeniowym, pierwsze, co przychodzi nam na myśl, to zapewne PZL „Świdnik” albo PZL „Mielec”. A co z Polskimi Zakładami Lotniczymi w Warszawie? Wszak Okęcie to nie tylko lotnisko. To także przemysł, **którym dziś zarządza Airbus Poland**. Pojechałem sprawdzić, co i jak produkuje w Warszawie ten europejski koncern.

eprasa.pl e719c8288f

Po wyjściu na halę serwisową Airbusa znajdującą się tuż przy lotnisku im. Fryderyka Chopina przykuły moją uwagę ogromne płaty ogona samolotu z wymalowaną na nim biało-czerwoną szachownicą. Był to sporych rozmiarów samolot transportowy C-295M, czyli popularna CASA, albo „Kasia", jak zwykli nazywać je pracownicy zakładu. Obok niego stała kolejna, a dalej jeszcze jedna. Były to maszyny należące do Sił Powietrznych RP oraz jedna czeska w bardzo ładnym malowaniu. Polskie CASY mają hiszpański rodowód, bo zostały wyprodukowane w Construcciones Aeronáuticas SA (w skrócie CA SA) – zakładach należących do koncernu Airbus. Polska zakupiła takich 16 w 2001 r., czyli wtedy, gdy europejski holding przejął 77% akcji PZL „Warszawa-Okęcie". Po hali oprowadzał nas prezes zarządu Airbus Poland S.A. Hiszpan Javier Medina oraz przewodniczący NSZZ „Solidarność" w Airbusie Rafał Chojecki. Solidarność jest tutaj największym związkiem zawodowym i pilnuje, by pracownicy mieli godne warunki pracy. Tej jest sporo, a przez ambicje Airbusa może być jej jeszcze więcej.



Fot. Airbus Poland

AIRBUS PRZEZ WIELU POSTRZEGANY JEST JAKO FIRMA NIEMIECKA CZY FRANCUSKA, KTÓRA SŁUŻY REALIZACJI INTERESÓW KONKRETNYCH GOSPODAREK NARODOWYCH. W ISTOCIE KONCERN JEST WIELONARODOWY.

Dom Solidarności

Centrum Serwisowe Airbusa w Warszawie obsługuje nie tylko polskie siły powietrzne, ale też floty samolotów z Czech – co widzieliśmy na własne oczy – Kazachstanu, Finlandii, Hiszpanii i Senegalu. Do serwisu jednej maszyny potrzebny jest zespół wysoko wykwalifikowanych pracowników składający się z 6–10 osób, a taka kompleksowa usługa może trwać nawet kilka miesięcy. Nie jest to zatem prosty przegląd u mechanika, a bardzo wyśrubowany proces, przygotowujący samolot do działania w niemal wszystkich warunkach pogodowych na każdej szerokości geograficznej. Z tego słyną CASY – z niezawodności, dlatego służą w tak wielu miejscach na świecie. Z warszawskiego zakładu nie wylatuje żadna nowo wyprodukowana maszyna, ale każda CASA na świecie jest zbudowana w 60% z komponentów produkowanych właśnie tutaj, w Warszawie. Aż 70% wszystkich wiązek elektrycznych w tych samolotach jest wytwarzanych przez pracowników Airbus Poland. Ten zakład to prawdziwy dom C-295M, nad którymi w centrum serwisowym czuwa ponad 60 osób, a w całym zakładzie ponad 600 pracowników, o których z kolei dba Solidarność, mając na uwadze ich interes pracowniczy.

– Mamy bardzo dobre relacje ze stroną pracodawcy, zarówno jeśli chodzi o współpracę z organizacjami związkowymi, jak i o warunki rozwoju dla pracowników. Pracodawca zapewnienia nam szkolenia zawodowe dla członków Związku, co uważam za świetne rozwiązanie, zwłaszcza w kontekście rozwijania umiejętności miękkich – mówi Rafał Chojecki, którego poprosiłem o szczerą ocenę relacji z pracodawcą. – Airbus umożliwia nam też oddelegowanie członków Związku na szkolenia, a także zapewnia dodatkową ochronę dla społecznych inspektorów pracy. Dzięki temu nasi inspektorzy mają zapewnioną dwuletnią ochronę po zakończeniu swojej funkcji, co daje im poczucie

eprasa.pl e719c8288f



W zakładzie Airbusa w Warszawie pracuje ponad 600 pracowników

Fot. Airbus Poland

bezpieczeństwa i swobody w wykonywaniu obowiązków – wylicza przewodniczący „S" w Airbusie.

Byłem w różnych zakładach pracy i odzwyczaiłem się od takich pozytywnych opinii, więc pytam, czy zdarzają się sytuacje kryzysowe lub spory. Przecież nie może być tak różowo.

– Oczywiście, jak w każdej firmie zdarzają się konflikty. Menedżerowie mają inne cele niż związki zawodowe. Staramy się jednak szukać wspólnych rozwiązań. Nie zawsze jest łatwo, nie zawsze wszyscy odchodzą od stołu zadowoleni, ale najważniejsze, że pracownicy widzą realne efekty naszej pracy. W ostatnich latach wynagrodzenia w Airbus Poland wyraźnie rosną. Pracodawca zapewnił nam dodatkowe wsparcie finansowe w trudnych okresach, chociażby podczas pandemii COVID-19 czy w czasie wysokiej inflacji. Co ważne, nasze pensje rosną szybciej niż inflacja, więc te podwyżki są realnie odczuwalne. W ostatnich trzech latach zawsze byliśmy powyżej wskaźnika inflacji i to jest duży sukces. Nie są to tylko wyrównania, ale rzeczywiste wzrosty płac. Negocjacje płacowe to zresztą jedno z najważniejszych pól naszej działalności. Zarząd, co naturalne, chce ograniczać koszty, a my pokazujemy, że w obecnych realiach ekonomicznych potrzeby pracowników są coraz większe – ocenia Rafał Chojecki, a mnie szczerze zdziwił fakt, że w czasie lockdownów koronawirusowych, gdy na świecie załamały się łańcuchy dostaw, pracownicy nie dostali po kieszeni, co odbyło się m.in. w innych zakładach lotniczych. – Dlaczego mielibyśmy obniżać pensje pracownikom? Przecież to nie ich wina, że była pandemia – mówi Javier Medina, oprowadzając mnie po kolejnych pomieszczeniach w halach produkcyjnych.

Trzeba przyznać, że to postawa godna uznania, która może wynikać z europejskiej filozofii prowadzenia biznesu i respektowania propracowniczych wartości, ale według mnie głównym czynnikiem wpływającym na rosnące płace i brak polityki zaciskania pasa jest bardzo dobrze ułożony plan biznesowy: procesy operacyjne, łańcuchy dostaw i sieć podwykonawców na terenie Europy. Koncern ma tak zoptymalizowane procesy produkcji, transportu i spójne procesy operacyjne, że stał się bardzo odporny na kryzysy i wahania rynkowe. To stawia go w bardzo dobrej pozycji w ubieganiu się o ważne kontrakty w lotnictwie cywilnym i wojskowym. A Polska ma potrzeby, które Airbus może zaspokoić.

Kontrakt dla LOT-u

W czerwcu tego roku Airbus zdobył kontrakt na dostarczenie 40 samolotów pasażerskich A220 dla Polskich Linii Lotniczych LOT. Wartość umowy szacowana jest na 11 miliardów złotych, a dodatkowo polski przewoźnik zawarł opcję zakupu kolejnych 44 maszyn.

– Kontrakt Airbusa z PLL LOT to jest historyczne wydarzenie, absolutnie. I tutaj możemy o tym mówić bez żadnej przesady. Po 25 latach starań w końcu udało nam się przełamać duopol Embraera i Boeinga w segmencie floty regionalnej. Bardzo nas cieszy, że LOT postanowił wybrać nowe rozwiązanie – mówi Sebastian Magadzio, przedstawiciel Airbusa w Polsce.

Co ciekawe, konkurencyjny Embraer w ramach szerokiej umowy proponował Polsce ulokowanie produkcji nowych samolotów dla LOT-u nad Wisłą, jednak strona polska zdecydowała się na Airbusa, który będzie produkowany w całości za granicą. W zakładach, które odwiedziłem, europejski koncern produkuje wspomniane już komponenty samolotów CASA, ale też elementy konstrukcji lotniczych dla samolotów A330 oraz wiązek elektrycznych dla samolotów pasażerskich z rodziny A320 i A330. Dlaczego więc producent nie chciał zwiększyć swoich szans na wygranie kontraktu, dokładając produkcję choćby niektórych komponentów do samolotów dla LOT-u? Wychodzi na to, że Airbus ma tak zoptymalizowane łańcuchy dostaw, że przemodelowanie całego procesu dla jednego klienta nie jest priorytetem. – W Polsce w tej chwili nie produkujemy elementów tego konkretnego samolotu. Natomiast ponad 40% całości wartości tego produktu pochodzi z Europy. Dystrybucja tych elementów to program, który trwa już kilkanaście lat. To nie jest coś nowego, co mogłoby być przekazane konkretnemu klientowi. Najważniejsze jest to, że

eprasa.pl e719c8288f

mamy pełną kontrolę nad łańcuchem dostaw – wyjaśnia przedstawiciel Airbusa w Polsce Sebastian Magadzio.

Co prawda części i podzespoły silników zostaną wyprodukowane w rzeszowskich zakładach Pratt & Whitney, a fotele pasażerów w wielkopolskiej fabryce Recaro, ale chciałoby się, żeby nowe samoloty dla LOT-u były bardziej „polskie". Produkcja elementów maszyn latających nad Wisłą byłaby niewątpliwie wartością dodaną do tego kontraktu. Może taka znajdzie się przy okazji innych zamówień, bo Airbus ma ambicje na dużo więcej, jeśli chodzi o nasz kraj.

Sky is the limit

Polska w zakresie lotnictwa potrzebuje trzech ważnych produktów: dużego samolotu transportowego, który będzie mógł latać dalej z większym ładunkiem niż nasze CASY czy wysłużone Herkulesy. Krytycznie potrzebne są też latające tankowce, które zaopatrują w powietrzu myśliwce wykonujące misję zabezpieczania nieba, gdy nad Ukrainą latają rosyjskie rakiety i drony. Dzięki takim samolotom polskie F-16 mogą operować dłużej w powietrzu bez konieczności lądowania i przerywania misji. Obecnie wspierają nas w tym maszyny naszych europejskich sojuszników z NATO.

– Jeśli chodzi o ciężki samolot transportowy, to Airbus A400M jest właściwie jedyną platformą na rynku w tym segmencie. To samolot, który oferuje ładowność użytkową do 40 ton. Dla porównania CASA ma 11, a Herkulesy do 20 ton. Jeżeli więc zapotrzebowanie polskich Sił Powietrznych na ciężki samolot transportowy jest właśnie w tym segmencie, to wypadałoby, żeby się pochylić nad naszą ofertą – ocenia Sebastian Magadzio.

A tankowce? – Samolot A330 MRTT, czyli Multi-Role Tanker Transport, który znajduje się w naszej ofercie, jest samolotem wielozadaniowym. Podczas jednego lotu może wykonywać trzy role: przewozić jednocześnie 240 osób na pokładzie, np. żołnierzy. W tym samym czasie może tankować paliwo dla samolotów bojowych (111 ton), a w luku cargo przewozić 40 ton ładunku. To samolot, do którego już teraz produkujemy u nas duże komponenty lotnicze, dlatego jego zakup wiązałby się ze wzrostem zamówień dla Airbus Poland. Będziemy mogli też sami serwisować ten samolot – mówi przedstawiciel Airbusa w Polsce.

Do tego dochodzi konieczność pozyskania śmigłowców szkolno-bojowych, których dziś praktycznie nie mamy, a na czymś w końcu przyszli piloci 96 apache'y muszą się szkolić. Agencja Uzbrojenia prowadzi właśnie badania rynkowe na pozyskanie 24 maszyn, które miałyby trafić do Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. Tutaj z gotowym rozwiązaniem także czeka Airbus. – Za naszą ofertą przemawia fakt, że podobne systemy szkoleniowe związane z apache'ami są w tej chwili prowadzone w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych na naszych maszynach. W USA przyszli piloci apache'y szkolą się na H145M – przekonuje Sebastian Magadzio.

Oferta Airbusa wydaje się kompleksowa, bo stworzono konsorcjum Airbus, Babcock i CAE, w którym Airbus naturalnie dostarcza śmigłowce, przedsiębiorstwo Babcock systemy szkoleniowe, a kanadyjska firma CAE – symulatory. Na stole negocjacyjnym jest cały system szkoleniowy z polonizacją tego programu. Podpisano wstępne porozumienie o współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową, w ramach której Wojskowe Zakłady Lotnicze w Łodzi mają stać się centrum kompetencji śmigłowca H145M, a środki bojowe do nich będą pochodzić z polskich zakładów MESKO.

– Dodatkowo H145 to większy brat H135, czyli śmigłowca, który z sukcesem służy w Lotniczym Pogotowiu Ratunkowym. Jeśli więc chodzi o zapotrzebowanie całego rynku na śmigłowce, to jest ono dużo większe, bo mówimy tu o Policji, Straży Granicznej, Straży Pożarnej i nowych maszynach dla LPR-u – wylicza Sebastian Magadzio. Czy jest szansa, by ta maszyna była produkowana w Polsce? Przedstawiciel koncernu ją widzi.

> OFERTA AIRBUSA WYDAJE SIĘ KOMPLEKSOWA, BO STWORZONO KONSORCJUM AIRBUS, BABCOCK I CAE, W KTÓRYM AIRBUS NATURALNIE DOSTARCZA ŚMIGŁOWCE, PRZEDSIĘBIORSTWO BABCOCK SYSTEMY SZKOLENIOWE, A KANADYJSKA FIRMA CAE – SYMULATORY.

Airbus przez wielu postrzegany jest jako firma niemiecka czy francuska, która służy realizacji interesów konkretnych gospodarek narodowych. W istocie koncern jest wielonarodowy – wiele państw europejskich ma w nim swoje aktywa. Warto, by było w nim coraz więcej polskich komponentów.

eprasa.pl e719c8288f

NAFTORUBLE

w stolicy Eurolandu

Kiedy pod koniec października Stany Zjednoczone nałożyły kolejne sankcje – tym razem na największe rosyjskie spółki naftowe, Rosnieft i Łukoil – Moskwa zaczęła wyprzedawać zagraniczne aktywa. Zanim minęły dwa tygodnie, niemiecka spółka Rosnieftu po kilku własnościowych zmianach **wróciła w rosyjskie ręce** – już zwolniona z sankcji. Przynajmniej na razie.

Paweł Pietkun



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e719c8288f

Poranek 23 października na moskiewskiej giełdzie – i tak przerażająco słabej w związku z sankcjami gospodarczymi nałożonymi przez większość krajów Zachodu za wojnę prowadzoną na Ukrainie – okazał się wyjątkowo ponury. Oto kilka godzin wcześniej Stany Zjednoczone poinformowały o wprowadzeniu sankcji na dwa największe rosyjskie koncerny naftowe, czyli Łukoil i Rosnieft.

Wyprzedaż aktywów

Choć sankcje mają wejść w życie dopiero 21 listopada, Kreml już nieraz przekonał się, że z deklaracjami płynącymi ostatnio z Białego Domu nie ma żartów. Wiedzą o tym także partnerzy handlowi koncernów, którzy w ciągu kilku dni zaczęli wycofywać się z kontraktów, szukając dostaw ropy z miejsc, które nie zagrożą im pogorszeniem stosunków handlowych z wciąż największą gospodarką świata.

Szefowie obu koncernów w ciągu kilku dni opracowali plan sprzedaży wszystkich zagranicznych aktywów obu spółek – w obecnej sytuacji, bez perspektywy zakończenia wojny, a więc także zdjęcia sankcji. Z perspektywy lukratywnych, naftowych biznesów stały się one jedynie kosztami, często gigantycznymi.

Szybko jednak okazało się, że spośród wszystkich aktywów Rosja nie zamierzała sprzedać tylko jednego – pakietu udziałów w działającej w Niemczech spółce zależnej Rosnieftu, czyli Rosnieft Deutschland. Powód?

Rząd niemiecki szybko interweniował w Waszyngtonie – ta spółka zdaniem Berlina powinna być zdjęta z list sankcyjnych. Po pierwsze była właścicielem większościowego pakietu akcji w rafinerii PCK Schwedt, dobrze znanej Polakom dojeżdżającym tam codziennie albo raz w tygodniu do pracy, bo znajdującej się niemal przy samej granicy z Polską.

Schwedt to niemiecka rafineria, która odgrywa strategiczną rolę w zaopatrywaniu północno-wschodnich Niemiec i zachodniej Polski w paliwa. Po wstrzymaniu dostaw rosyjskiej ropy rafineria otrzymuje surowiec m.in. przez port w Rostocku (również z tzw. tankowców widmo wożących ropę pod różnymi, często zmieniającymi się także w czasie rejsów banderami) i Gdańsku oraz ropociągiem „Przyjaźń", częściowo z Kazachstanu. Rafineria przeszła pod zarząd powierniczy Niemiec, które przejęły kontrolę nad udziałami wcześniej formalnie należącymi do rosyjskiego koncernu Rosnieft.

Berlin daje gwarancje

Działająca w Niemczech spółka zależna Rosnieftu została w 2022 roku objęta przez niemieckie władze zarządem powierniczym. Był on już kilkakrotnie przedłużany, a niemiecki rząd stara się znaleźć trwałe rozwiązanie dotyczące udziałów, aby zapewnić bezpieczeństwo dostaw, zwłaszcza we wschodniej części Niemiec (w tym w Berlinie), zaopatrywanej w dużej mierze w paliwo dzięki rafinerii PCK w Schwedt.

Amerykanie mieli jeszcze jeden powód do wycofania się z sankcji na niemiecki oddział Rosnieftu. Władze USA na podstawie dokumentów przedstawionych przez niemiecki rząd federalny uznały, że Rosnieft Deutschland jest na tyle odseparowany od swojej spółki matki, że nie ma konieczności aby, ograniczać jej działalność czy możliwość sprzedaży paliw. Oczywiście ustępstwo Amerykanów nie było bezterminowe – Berlin na uregulowanie spraw własnościowych dostał od Białego Domu sześć miesięcy.

Tydzień po ogłoszeniu wprowadzenia sankcji Katherina Reiche, niemiecka minister gospodarki, przedstawiła ustępstwo Amerykanów jako swój sukces. I za taki zostało ono uznane przez niemieckie media i tamtejszą opinię publiczną. Rosyjskie media oszacowały wartość niemieckich aktywów Rosnieftu na około 7 mld dolarów, choć rzeczywista wartość, na co zwracali uwagę analitycy, mogła być mniejsza.

W Berlinie rozpoczęła się dyskusja na temat możliwej nacjonalizacji znajdujących się nad Renem aktywów rosyjskiego koncernu – te rosnieftowskie znajdowały się pod zarządem powierniczym. To we współczesnej gospodarce model zarządzania majątkiem, przedsiębiorstwem lub nieruchomością, w którym odpowiedzialność za prowadzenie spraw przejmowana jest przez zewnętrzny, profesjonalny podmiot, czyli właśnie powiernika, działający w imieniu własnym, ale na rzecz właściciela,

SZEFOWIE ROSYJSKICH KONCERNÓW W CIĄGU KILKU DNI OPRACOWALI PLAN SPRZEDAŻY WSZYSTKICH ZAGRANICZNYCH AKTYWÓW SPÓŁEK.

eprasa.pl e719c8288f

czyli powierzającego – w tym wypadku rosyjskiego Rosnieftu. Dzięki umowie powierniczej rosyjska spółka matka miała minimalny, choć bezpośredni ,wpływ na zarządzanie, ale zachowała część majątku i decyzyjny głos w sprawie dalszych losów Rosnieft Deutschland, co – jak pokazały kolejne dni – miało niebagatelne znaczenie.

Aktywa idą do spółek oligarchy

Ostatecznie Rosnieft zdecydował się sprzedać swoje aktywa – en bloc – zarejestrowanej na Cyprze Grupie Gunvor z siedzibą w Genewie – to jeden z największych na świecie pośredników w handlu ropą i gazem, który w ubiegłym roku osiągnął przychód na poziomie 136 mld dolarów przy zysku przekraczającym 729 mln dolarów, odpowiadając jednocześnie za ponad 35 proc. eksportu rosyjskiej ropy. Ale ropa to nie jedyny biznes Gunvoru – to także znaczący globalny inwestor w energię odnawialną, dystrybucję paliw w Azji Południowej, produkcję gazu w USA i farmy słoneczne w Italii.

Spółkę założyli szwedzki miliarder Torbjörn Törnqvist i rosyjski oligarcha gazowy i naftowy, a prywatnie przyjaciel Władimira Putina, Giennadij Timczenko. Przyjaźń Timczenki była i jest Putinowi szczególnie bliska, bo to właśnie jego firmy są źródłem finansowania rosyjskiej armii i przemysłu zbrojeniowego.

Oligarcha był celem amerykańskich śledztw prokuratorskich w sprawie prania brudnych pieniędzy – nielegalnie pozyskiwał amerykańskie fundusze i wykorzystywał je od 2014 roku do pośrednictwa w zakupach i sprzedaży rosyjskiej ropy, co pozwalało na omijanie amerykańskich sankcji i tłumaczy wciąż silną pozycję Rosnieftu na międzynarodowych giełdach towarowych.

Sama spółka stała się szerzej znana opinii publicznej po tym, jak posłużyła się korupcją przy wejściu na rynek ropy na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w Republice Konga (za co zapłaciła szwajcarskiemu wymiarowi sprawiedliwości karę w wysokości 94 mln franków) czy dała się złapać na wręczaniu łapówek szefom państwowej firmy naftowej Petroecuador w Ekwadorze, co skończyło się kosztowną (661 mln dolarów) sądową ugodą z amerykańskim rządem. Przy okazji tego śledztwa okazało się, że na liście inwestorów Gunvoru był również rosyjski prezydent.

> W BERLINIE ROZPOCZĘŁA SIĘ DYSKUSJA NA TEMAT MOŻLIWEJ NACJONALIZACJI ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NAD RENEM AKTYWÓW ROSYJSKIEGO KONCERNU.

W trosce o interesy Moskwy

Dzisiaj to właśnie Gunvor rozmawia z niemieckim rządem na temat swojej obecności w niemieckiej spółce córce Rosnieftu. Jeżeli ją przejmie, rząd w Berlinie, mający zarząd powierniczy nad Rosnieft Deutschland, będzie dla Amerykanów gwarantem niezależności od rosyjskiego kapitału, choć dalej będzie legalnie handlował ropą – również rosyjską – na rzecz oligarchy nieformalnie powiązanego dzisiaj z cypryjsko-genewską grupą handlującą na całym świecie paliwami kopalnymi. Nieformalnie, bo po wprowadzeniu pierwszych amerykańskich sankcji, Timczenko oficjalnie sprzedał swoje udziały szwedzkiemu wspólnikowi, zachowując jednak w spółce swoje stanowiska i wpływy.

Kiedy rosyjskie zarządy Rosnieftu i Łukoilu zastanawiały się po wprowadzeniu kolejnych sankcji, w jaki sposób upłynnić swoje zagraniczne aktywa, jednego były pewne: tym znajdującym się w Niemczech sankcje nie groziły, bo bezpieczeństwo gwarantował im najlepszy w tej sytuacji zarząd powierniczy – rząd w Berlinie, oficjalnie przeciwnik ukraińskiej wojny, ale faktycznie partner dbający o to, żeby rosyjskim interesom w Niemczech nie działa się zbyt duża krzywda.

> DZISIAJ TO WŁAŚNIE GUNVOR ROZMAWIA Z NIEMIECKIM RZĄDEM NA TEMAT SWOJEJ OBECNOŚCI W NIEMIECKIEJ SPÓŁCE CÓRCE ROSNIEFTU.

eprasa.pl e719c8288f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Opcja zero

Im bardziej śledzę różne doniesienia z szeroko pojętego wymiaru sprawiedliwości, jak ostatnio z Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, tym bardziej skłaniam się ku przekonaniu, że jedyną możliwością jego naprawienia jest tzw. opcja zero. Innymi słowy: wszyscy won.

Zdaję sobie sprawę, że powyższy wstęp może brzmieć populistycznie. W końcu łatwo napisać „wszyscy won", ale nieco trudniej wcielić to w życie. Tyle że obecny system, który praktycznie nietknięty przeszedł transformację ustrojową, przypomina raczej węzeł gordyjski niż obszar nadający się do reformy.

Środowisko, które miało oczyścić się samo, przez dekady zbudowało sobie niezwykle silną pozycję w państwie. Ba, wydaje się, że wręcz silniejszą niż władza wykonawcza i ustawodawcza. Ministrowie przychodzili i odchodzili, ale nie zmieniało się jedno – opór środowiska sędziowskiego wobec jakiejkolwiek zmiany, która mogłaby naruszyć status quo i święty spokój. W efekcie każda próba usprawnienia systemu traktowana jest jak atak na demokrację, a każda propozycja kontroli – jak zamach na konstytucję.

Sędziowie lubią wiele mówić o niezawisłości, ale bardzo często mylą ją z nietykalnością. Wystarczy przypomnieć symboliczne słowa o „nadzwyczajnej kaście", którą wielu po prostu się czuje. Nic dziwnego. Ciche porozumienie ze środowiskiem sędziowskim sprawiło, że przez lata mieliśmy korporację, która sama się kontroluje, sama się ocenia i sama sobie przyznaje rację. I oczywiście była z siebie bardzo zadowolona.

Tymczasem statystyki są dla sędziów bezlitosne. Polska ma jedną z największych liczb sędziów w Unii Europejskiej, co na nic się nie przekłada. Polskie sądy należą do najmniej efektywnych, a sprawy ciągną się latami, budując u obywateli raczej frustrację niż poczucie sprawiedliwości.

Oczywiście nie brakuje wśród sędziów ludzi uczciwych, kompetentnych i oddanych służbie publicznej. Problem w tym, że ton nadaje głośna mniejszość, która przez lata budowała mur arogancji i bezkarności. Niestety, przy cichym przyzwoleniu środowiska, które z różnych powodów nie chciało lub nie potrafiło w porę zareagować.

Wspomniałem na początku o Sądzie Apelacyjnym w Poznaniu. Nie wiem, czy Państwo wiedzą, ale jego niedawne decyzje zszokowały i jednocześnie zbulwersowały opinię publiczną. Najpierw uchylono wyrok recydywiście, który zgwałcił 14-letnią dziewczynkę. Następnie to samo zrobiono z wyrokiem dożywocia dla Serhia T., który został skazany za potrójne zabójstwo: żony i dwóch córek. Powód? W obu sprawach orzekał sędzia Daniel Jurkiewicz, który w ocenie SA jest „neosędzią". I już, po prostu.

W imię walki korporacyjnej, a przy okazji – obrony systemu – uchyla się więc wyroki w sprawach w ogóle niezwiązanych z polityką. Jeżeli doda się do tego fakt, że dla części sędziów bardziej niezawiśli są ci, którzy byli nominowani przez Radę Państwa oraz ślubowali strzec ładu Polski Ludowej, to jak – biorąc powyższe pod uwagę – nie być w takim przypadku zwolennikiem opcji zero? Nie da się.

eprasa.pl e719c8288f

Społeczeństwo

Trzeba mieć MENTALNOŚĆ wolnego człowieka

– Podstawowe przesłanie mojej książki to: rozpoznaj relacje w rodzinie twojego przyszłego męża albo twojej przyszłej żony, żebyś nie był zdziwiony, kto w niej rządzi. Bo myślisz, że żenisz się z Elą, a okazuje się, że tak naprawdę żenisz się z jej ojcem czy matką, którzy będą decydować o twoim życiu – mówi dr hab. **Grzegorz Łęcicki**, emerytowany profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, teolog mediów i komunikacji, badacz mediów audiowizualnych, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.



Fot. arch. G. Łęcicki



eprasa.pl e719c8288f

– Skąd pomysł na to, żeby profesor teologii kultury i mediów z wieloletnim doświadczeniem napisał książkę o toksycznych matkach i teściowych?

– Książki dotyczące szczęścia w małżeństwie, miłości rodziny za każdym razem rodziły się z potrzeby moich uczniów, studentów, którzy zachęcali mnie do tego, żeby opisać zjawiska, o których im opowiadałem. Pisanie książek to forma resetu i przerywnika w czasie wykładów. Okazało się, że ta problematyka również jest niezwykle interesująca, bo w życiu nie spotkałem nikogo, kto nie chciałby być szczęśliwy. Szczęście raczej utożsamiamy z życiem rodzinnym, małżeńskim, wobec tego ta tematyka jest supernaturalna. Po napisaniu dwóch książek na ten temat, czyli poradnika szczęścia małżeńskiego i historii małżeństwa i rodziny od Adama i Ewy do nauczania papieża Benedykta, jeden z czytelników rzucił hasło, że wszystko jest dobrze, tylko że ja nie napisałem o złych teściowych. No to zapytałem go, skąd taki pomysł? I czy to jest takie ważne? Bo przecież to zjawisko jest już zdefiniowane, nazwane, ale okazało się, że właśnie nikt nie napisał książki z perspektywy katolickiej. To był pierwszy element nowego wyzwania, przed którym stanąłem. Drugi był taki, że kiedy zacząłem zbierać materiały na ten temat, to okazało się, że jednak problem istnieje, i to jest dość duży problem społeczny. On może nie jest aż tak nagłaśniany i nie chciałbym go demonizować, ale jednak ze względu na to, że bardzo duża liczba małżeństw w Polsce się rozpada – to jest około czterdziestu procent – i duża część rozwodów jest spowodowana nadopiekuńczością rodziców, czyli zjawiskiem, które starałem się opisać, należy się temu przejrzeć. Rozmawiałem też z osobami duchownymi, z hierarchami, dlatego że to wyzwanie było dla mnie dosyć trudne i niecodzienne, ponieważ z jednej strony mamy bardzo dobrze rozwijający się kult Matki Bożej Częstochowskiej czy w ogóle Matki Bożej, więc poruszenie tematu krytycznego wobec matki może być dla kogoś niestosowne. Z drugiej strony mamy bardzo słuszny i pozytywny przykład stereotypowego podejścia do matki Polki, do wzorca, niemalże archetypu. Moja książka ma na celu to zaatakować. Starałem się wybrnąć z tego dylematu, ale okazało się, że osoby starsze i mądrzejsze, zajmujące w hierarchii naukowej i kościelnej różne stanowiska, bardzo mnie do tego zachęcały. Właśnie ze względu na to, że problem realizacji złej formy miłości małżeńskiej i później rodzinnej jednak jest wyczuwalny. Okazuje się, że dość dużo osób, z którymi rozmawiałem na ten temat, czy to w swoim gronie rodzinnym, czy z przyjaciółmi i ze znajomymi, takie toksyczne postacie od razu potrafi nazwać, zdefiniować i wskazać.



Fot. Adobe Stock

– Prześledźmy publikację rozdział po rozdziale. Czym charakteryzuje się tyrańska matka, Panie Profesorze?

– To jest taka mama, która uważa, że najważniejszym celem jej życia jest totalna odpowiedzialność za dziecko i że to ona musi podejmować za nie wszystkie decyzje. Zamiast uczyć dziecko samodzielności, wolności, dopuścić też do tego, że ma prawo do pomyłki, do uczenia się na własnych błędach, to tego nie robi. Ona decyduje totalnie o wszystkim. Wydaje nam się, że jest to naturalne. Ale kiedy dziecko zaczyna być coraz większe, zaczynają się niekiedy problemy, dylematy. Wychowując dwójkę moich dzieci, obserwowałem to już w piaskownicy. Nawet w czasie zakupów można było zobaczyć, która mama jest tyrańska i nadopiekuńcza, która wie lepiej, jaki kolor piórnika dziecku się podoba. Dziecko chce

eprasa.pl e719c8288f

kupić zielony, a ona krzyczy, że ma być czerwony. Później matka wie lepiej, jaką szkołę, jakiego partnera życiowego dziecko powinno wybrać. Taki tyran domowy nie wypuszcza swojego podopiecznego, a jednocześnie buduje cały czas swoją pozycję jako władca absolutny. W książce opisuję przypadek pani, która od swojej matki dowiedziała się, że jej matka właściwie nie jest tylko jej matką – jest Bogiem, bo ją stworzyła. Matki jedynaków tak się zachowują: „Jestem twoim Bogiem, ja wiem lepiej". Nawet jeśli chodzą do kościoła, to wychodzą za jego próg i nagle stają się tyranami dla swoich najbliższych, dzieci, zięciów, synowych. Następuje przedziwna przemiana. Właśnie to starałem się opisać. Dlaczego? Skąd to wynika? Pan Bóg stworzył nas jako ludzi wolnych. Dał nam dar wolności. Trzeba się nauczyć korzystać z tego daru, a rodzice są od tego, żeby przygotować dziecko do samodzielnego życia. Natomiast tyrańskie matki jedynaków absolutnie do tego nie dopuszczają. W ogóle nie przyjmują takiej opcji. Na końcu książki umieściłem słowniczek tych toksycznych matek, kiedy z nimi rozmawiałem – niezależnie od regionu Polski – zauważyłem, że one się posługują tymi samymi słowami. I tak pół żartem, pół serio zacząłem pisać taki słownik. Okazuje się, że można ją natychmiast rozpoznać. Matka reagująca histerycznie czy wrzaskliwie na słowo „wolność", „samodzielność" dziecka – to od razu widać – jest matką toksyczną, tyranem.

MATKI POTRAFIĄ RZĄDZIĆ NAWET ZZA GROBU.

– A co oznacza „trujący oplot powoju"?

– Zanim odpowiem na Pańskie pytanie, ta książka była konsultowana przez kilka osób – m.in. przez jedną z pań profesor psychologii – i te osoby doradziły mi, żeby na końcu umieścić coś pozytywnego, czyli test dla czytelnika w formie psychozabawy, żeby po tej lekturze miał coś pozytywnego, a mianowicie, żeby mógł sprawdzić siebie i swoje relacje z najbliższymi we własnym sumieniu, żeby dokonał bilansu. Moje sformułowania dotyczące toksycznych matek to nie jest nazewnictwo naukowe, ale oddaje prawdziwe zjawiska uzależnień od złej miłości macierzyńskiej. Pokazuję też, że chodzi nie tylko o matki, ale też o ojców, ponieważ mamy do czynienia również z toksycznymi ojcami.

– Czy toksyczna miłość to jest synonim „trującego oplotu powoju"?

– Można tak powiedzieć.

– Kim jest doskonała kapłanka, Panie Profesorze?

– To jest postać, która uzależnia od siebie swoją domniemaną szlachetnością. Na takiej zasadzie nie ma matki, która by kochała doskonalej dziecko niż ona i tylko ona się mu poświęca. Ona jest ideałem. Nieustannie infantylizuje dziecko. Nawet kiedy one same odchodzą z tego świata, to rzeczy takich matek kapłanek są traktowane jak relikwie. Takie matki potrafią rządzić nawet zza grobu. Amerykanie to zbadali.

– Coraz częściej młodzi mężczyźni wiążą się ze znacznie starszymi kobietami.

– Jest teraz tendencja, że młodzi mężczyźni szukają opieki, wchodzenia w relacje ze starszymi kobietami przez to, że nie zbudowali dobrych relacji z własną matką. To jest częstsze z roku na rok. Widać to szczególnie we Włoszech. Synowie nie chcą wyjść z domu. Matka wszystko im zastępuje. Oni żyją z mamusią, mają po sześćdziesiąt lat, a dalej są synusiami mamusi i nawet nie myślą o tym, żeby zmienić tę relację.

– Dlaczego mężczyźni się feminizują?

– A kto głównie wychowuje mężczyzn w Polsce?

– Kobiety.

– Po pierwsze matki. Do 7. roku życia mamusia jest najważniejsza, ojciec zarabia. Co się dzieje potem? Od 1945 roku mamy ogromną feminizację zawodów nauczycielskich, czyli mężczyzn wychowują kobiety. Zdarzają się teraz takie przypadki, że chłopcy idą z matkami na komisję wojskową.

JEŻELI ZACZYNAM ZAUWAŻAĆ, ŻE MOJA RELACJA Z MATKĄ CZY OJCEM JEST TOKSYCZNA, CHORA, NADOPIEKUŃCZA, TO MUSZĘ SIĘ OD TEGO UWOLNIĆ.

– Czym się różni groźny bluszcz od pozostałych typów matek?

eprasa.pl e719c8288f



„Toksyczne matki i teściowe”

Autor omawia negatywne procesy społeczne, które często są przyczyną powstania dysfunkcji w rodzinach. Opisuje zjawiska, takie jak zbytnie i szkodliwe uzależnianie córek i synów (nawet dorosłych) od matek, destrukcyjny wpływ toksycznych matek i teściowych na związki małżeńskie swoich dzieci, pracę, powołanie, kryzysy ich męskości czy kobiecości itp. Przywołuje i analizuje rozmowy, wywiady, relacje osób, które dorastały w rodzinach dysfunkcyjnych. Zwraca uwagę na niewydolność społeczną i komunikacyjną oraz aspekty psychologiczne, np. częste traumy rodzinne.

– Bluszcz jest trujący. Wysysa energię z człowieka i zatruwa jego egzystencję fizyczną. Mówi się o takich ludziach, że są wampirami energetycznymi.

– A narcystyczne pokrzywy?

– Matka, która jest Bogiem sama dla siebie, która buduje pomnik swojej pychy i potrzebuje do tego wyznawców. Musi mieć takie dzieci i wychowuje je tak, żeby pokazać, że to ona jest w centrum świata i szczęście dziecka będzie zależało od szczęścia matki. Nie uszczęśliwisz jej, ona się obraża, przy tym jest to wina dziecka. Musisz wielbić taką postać, bo jeśli się buntujesz, to jest bardzo źle i są kary. Pokrzywa mi bardzo pasowała do takiego obrazu.

– Na czym polega tresura matek?

– Niektóre potrafią być śmiertelne, dlatego że potrafią człowieka doprowadzić do rozpaczy. Powodują głębokie rany psychiczne. Musisz wykonywać rozkazy, bo inaczej będzie źle. Nie ma miejsca na twoją wolność. Można to zaobserwować zarówno u osób świeckich, jak i niestety w źle pojętej władzy przełożonych w zakonach. Wówczas nie traktuje się człowieka jak podmiot, tylko jak przedmiot.

– Czy typy matek, o których wcześniej mówiliśmy, mogą się łączyć w jednej osobie?

– Jak najbardziej. Trzeba wyjaśniać pewne zjawiska. Może nastąpić kumulacja różnych cech w różnych wariantach, np. toksyczna matka jedynaka może być też atrakcyjną seksbombą.

– Jak dzieci mają sobie radzić z takimi matkami?

– Po pierwsze, muszą chcieć się wyzwolić. Jeżeli zaczynam zauważać, że moja relacja z matką czy ojcem jest toksyczna, chora, nadopiekuńcza, to muszę się od tego uwolnić. Po drugie, wiadomo, że drugiej osoby się nie zmieni, ale przecież ja sam mogę się zmienić. Dlatego należy szukać pomocy u psychologów, psychoterapeutów, dlatego że ktoś stojący z boku, najzupełniej obiektywny, będzie mógł pokazać rzeczy, które dla uczestnika relacji są na początku niedostrzegalne, więc trzeba sobie chcieć pomóc. Psychologia zna takie narzędzia. Trzeba mieć mentalność wolnego człowieka.

– Powstanie druga część książki, czyli „Toksyczni ojcowie i teściowie”?

– Nie wiem. Na razie nie mam do tego zapału.

– Jest Pan teologiem kultury i mediów. Czy Pańska książka może dotrzeć do osób, które nie są tak blisko wiary?

– Tak, ona ma wymiar absolutnie niekonfesyjny. Pewien fenomen jest pokazywany akurat na przykładzie tej wspólnoty, ale to nie znaczy, że tych toksycznych matek jedynaków nie ma w innych grupach religijnych czy bezreligijnych. Opisywałem osoby, które chodziły do kościoła, ale trudno byłoby pewnie je nazwać tak do końca wierzącymi, więc myślę, że to nie jest publikacja konfesyjna.

– Pańska książka powinna być wręczana młodym osobom wchodzącym w dorosłe życie jako elementarz młodego dorosłego?

– Zdecydowanie tak. Część tych relacji wypróbowałem już, prowadząc w mojej parafii kursy przedmałżeńskie, konferencje dla narzeczonych, i to już od paru lat. Za każdym razem spontanicznie ktoś mówił, że wspominam o jego matce. To znaczy, że problem istnieje i nie jest najmniejszy. Natomiast podstawowe przesłanie mojej książki to: rozpoznaj relacje w rodzinie twojego przyszłego męża albo twojej przyszłej żony, żebyś nie był zdziwiony, kto w niej rządzi. Bo myślisz, że żenisz się z Elą, a okazuje się, że tak naprawdę żenisz się z jej ojcem czy matką, którzy będą decydować o twoim życiu. Moja książka jest poradnikiem ostrzegającym przed pewnymi zjawiskami, z którymi możemy się spotkać.

Grzegorz Łęcicki to polski teolog, medioznawca, pedagog oraz emerytowany profesor UKSW. Jest uznanym teologiem kultury i komunikacji, a także badaczem mediów audiowizualnych. Jest autorem licznych publikacji naukowych i książek popularnonaukowych, w tym m.in. „Patologie w Kościele”, „Antymatki” oraz „Harcerz, ułan, kapłan. Ksiądz Zdzisław Peszkowski 1918–2007”. Zajmuje się realizacją edukacji medialnej i jest inicjatorem serii wydawniczej „Film z klapsem”. Często wypowiada się w mediach na tematy związane z wiarą, kulturą, komunikacją społeczną oraz aktualnymi problemami Kościoła katolickiego.

eprasa.pl e719c8288f

KULTURA

Redaktor DESPOTA

Człowiek instytucja. Redaktor „Skamandra”, „Wiadomości Literackich”, a na emigracji londyńskich „Wiadomości”. **Mieczysław Grydzewski** zmarł w styczniu 1970 r., jednakże 55. rocznica jego śmierci przeszła bez echa.

Piotr Łopuszański



Fot. Wikimedia Commons

O sobie mawiał, że jest liberałem, chociaż na emigracji stał się konserwatystą. Gdy od 1924 r. zaczął wydawać „Wiadomości Literackie”, w sporze między zwolennikami Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego opowiedział się za Marszałkiem, będącym jeszcze na „wygnaniu” w Sulejówku. Spór między narodową demokracją i piłsudczykami był jałowy. Ograniczał się do napaści słownych i czynnych. Zamordowano bliskiego Piłsudskiemu prezydenta Gabriela Narutowicza, pobito endeckiego publicystę Adolfa Nowaczyńskiego, który stracił oko. Konflikt polityczny okazał się jałowy. Nie przyniósł społeczeństwu koncepcji państwa, chociaż przywódcy obu obozów mieli odmienne wizje, jak Polska powinna wyglądać. W sumie walka plemienna nic Polsce nie dała.

Po zamachu majowym Mieczysław Grydzewski i skamandryci jawnie poparli sanację. Stali się pupilkami władzy. Pili bruderszaft z Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, z „Wołodią” Jaroszewiczem czy pułkownikiem Adamem Kocem. Do opozycji wobec władzy „Wiadomości Literackie” przeszły po procesie brzeskim, gdy skazano na więzienie byłych posłów na Sejm. W latach 30. tygodnik Grydzewskiego skręcił mocno w lewo, angażując się w sprawy niemające nic wspólnego z literaturą. Pojawił się dodatek „Życie Świadome”. Grydzewski pod wpływem Ireny z Goldbergów Krzywickiej i Tadeusza Żeleńskiego dał się wciągnąć w walkę o reformę obyczajów, propagowanie „świadomego macierzyństwa”, walkę z władzami kościelnymi.

> PO ZAMACHU MAJOWYM MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI I SKAMANDRYCI JAWNIE POPARLI SANACJĘ. STALI SIĘ PUPILKAMI WŁADZY.

Grydzewski nie zorientował się, że społeczeństwo było konserwatywne i radykalizm społeczny nie zyskał poparcia. Ludzie kpili z pomysłów stworzenia „polskich gejsz” i z promowania literatury mniejszości seksualnych. Czytali jednak „Wiadomości Literackie”, gdyż był to jedyny tygodnik tego typu. Zawsze obok tych ideologicznych tekstów pojawiały się tu interesujące artykuły o pisarzach, teatrze, o historii.

Po klęsce Polski zaatakowanej przez Niemcy i ZSRR Mieczysław Grydzewski znalazł się na emigracji. W Paryżu kontynuował wyda-

eprasa.pl e719c8288f



wanie pisma. Ostatecznie zamieszkał w Londynie. Upadek państwa polskiego był ogromnym wstrząsem dla wielu dawnych liberałów. Ujawnienie zbrodni stalinowskich we Lwowie i Katyniu sprawiło, że Grydzewski stał się antykomunistą. Przez kilkadziesiąt lat redagował londyńskie „Wiadomości", które stały się pismem konserwatywnym. Redaktor przeszedł więc inną drogę niż Tadeusz Boy-Żeleński, który zaczynał w konserwatywnym „Czasie", a skończył w „Nowych Widnokręgach" Wandy Wasilewskiej. Grydzewski pozostał patriotą.

W „Wiadomościach Literackich" rządził samodzielnie. Zatrudniony jako sekretarz redakcji Władysław Broniewski (już komunista!) odbierał jedynie telefony. O druku lub odrzuceniu tekstów decydował „Grydz". Drukował utwory swoich przyjaciół, zwłaszcza uwielbianego Juliana Tuwima. Antoni Słonimski otrzymał dział recenzji i pisał kroniki tygodniowe, gdzie nieustannie atakował narodowców, zwalczał tradycję, wzywał do obcięcia pejsów ortodoksyjnym Żydom. Gdy w jednym z teatrów wystawiono dość marną sztukę zatytułowaną „Kartka papieru", Słonimski zamiast recenzji napisał: „To była rolka".

Kim był redaktor Grydzewski? Pochodził z zasymilowanej rodziny żydowskiej. Jego nazwisko pisano rozmaicie: Grützhändler, Grycendler. Urodził się w Warszawie w 1894 r. i w stolicy przeżył 45 lat. Mieszkał w kamienicy przy Złotej 8. Tu umieścił też adresy swoich pism: „Skamandra", „Wiadomości Literackich", „Przyjaciela Psa".

Jego życie dzieli się na dwie części: szczęśliwe w Warszawie i smutne na emigracji. Dzieciństwo i młodość spędził w Warszawie. Od 1905 r. uczył się w siedmioklasowej Szkole Handlowej Kupców miasta Warszawy. Naukę zakończył w 1912 r. i przez rok w domu przygotowywał się do eksternistycznej matury. W 1913 r. wyjechał do Moskwy, by studiować prawo. Gdy wybuchła I wojna światowa, wrócił do Warszawy. W listopadzie 1915 r. zaczął studia na reaktywowanym polskim Uniwersytecie Warszawskim, zamkniętym po powstaniu listopadowym. Grydzewski studiował historię. Jego profesorami byli Marceli Handelsman, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Tymieniecki. Za swego mistrza uważał Szymona Askenazego. Został sekretarzem Koła Historyków, wygłaszał referaty, w których podkreślał znaczenie Kresów dla Polski. Należał do Organizacji

GRYDZEWSKI LEKCEWAŻYŁ BOLESŁAWA LEŚMIANA I KONSTANTEGO ILDEFONSA GAŁCZYŃSKIEGO.

eprasa.pl e719c8288f

Młodzieży Narodowej powiązanej z Polską Organizacją Wojskową. Już od 1920 r. zaczął używać nazwiska Grydzewski. Oficjalnie o zmianę nazwiska wystąpił 10 lat później.

W czasie studiów poznał Leszka Serafinowicza (Jana Lechonia), Tuwima, a potem Słonimskiego i wszedł do redakcji pisma „Pro Arte et Studio". Gdy w 1920 r. powstała grupa Skamandra i miesięcznik „Skamander", redakcją początkowo zajmowało się kolegium, potem redaktorem został Władysław Zawistowski. „Grydz" przejął rządy dopiero w 1923 r. Jednakże miesięcznik kupowali jedynie „krewni i znajomi", toteż pismo nie oddziaływało na publiczność tak, jak o tym marzył. Mimo deklaracji, że pismo jest otwarte na rozmaite nurty i poglądy, to bardzo szybko odpadli ludzie, którzy mieli inne zdanie niż „Grydz". Z grona współpracowników odszedł Karol Irzykowski, a także Witkacy, który chciał tu głosić swoją teorię Czystej Formy. W 1928 r. „Skamander" upadł.

Dlatego Grydzewski wymyślił tygodnik literacki, który w formie gazetowej będzie informować o tym, co dzieje się w literaturze. Co zastanawiające, skamandryci początkowo byli przeciwni pomysłowi „Miecia". Pierwszy numer miał raptem cztery strony i jedną ilustrację. Ukazał się w styczniu, a na pierwszej stronie był słaby wywiad z cenionym przez „Grydza" Stefanem Żeromskim. Po lekturze Jan Lechoń zachęcał redaktora, aby porzucił wydawanie tygodnika. Tuwim wręcz odszedł z grona współpracowników. Dopiero później pismo „chwyciło". „Wiadomości Literackie" ukazywały się co czwartek i zawsze przynosiły coś ciekawego. Grydzewski urządzał konkursy, rozpisywał ankiety, starał się zainteresować czytelników ciekawymi artykułami. Do współpracy zapraszał ludzi od prawa do lewa, ale ludzie prawicy mogli pisać jedynie neutralne politycznie teksty, np. wspomnienia Adolfa Nowaczyńskiego „Kiedy byłem piłsudczykiem". Na propagowanie poglądów prawicowych nie było tu miejsca.

UJAWNIENIE ZBRODNI STALINOWSKICH WE LWOWIE I KATYNIU SPRAWIŁO, ŻE GRYDZEWSKI STAŁ SIĘ ANTYKOMUNISTĄ.

Jako redaktor Grydzewski był furiatem. Skracał niemiłosiernie artykuły. Nie znosił wyrazów obcych, na przykład „szofer", „auto", „eksport". Ale redagował z werwą. Ogłaszał plebiscyty, prezentował wywiady z pisarzami. Wielbił Żeromskiego, więc od wywiadu z nim rozpoczął druk pisma. Najbardziej cenił jego... „Dzieje grzechu". Ulubionymi poetami byli Tuwim i Słonimski. Z tygodnikiem Grydzewskiego współpracowali Żeromski, Melchior Wańkowicz, Jan Parandowski, Andrzej Strug, Juliusz Kaden-Bandrowski, Stefan Napierski, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Irena Krzywicka.

JAKO REDAKTOR GRYDZEWSKI BYŁ FURIATEM. SKRACAŁ NIEMIŁOSIERNIE ARTYKUŁY. NIE ZNOSIŁ WYRAZÓW OBCYCH. ALE REDAGOWAŁ Z WERWĄ.

Grydzewski lekceważył natomiast Bolesława Leśmiana i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Przez pierwsze 10 lat istnienia tygodnika wiersz Leśmiana nie ukazał się ani razu. W „Wiadomościach Literackich" lansowano za to Feliksa Przysieckiego (kto o nim pamięta?), Zbigniewa Uniłowskiego, autora „Wspólnego pokoju", i Irenę Krzywicką. Przygotowywał specjalne numery poświęcone Bolesławowi Prusowi, Warszawie i historii Gdańska. Odnotowywał wizyty pisarzy zagranicznych w Polsce. Promował Marcela Prousta i Josepha Conrada.

Gdy w 1928 r. „Skamander" przestał wychodzić, Grydzewski od tej pory całą energię wkładał w redagowanie „Wiadomości Literackich". Wymyślał dodatki, prezentował ciekawe zdjęcia, a także fotomontaże. Pojawiła się rubryka „Książki najgorsze". Słonimski zaczął pisać felietony pod tytułem wziętym od Prusa: „Kroniki tygodniowe". Do współpracy zaproszony został Tadeusz Boy-Żeleński, który pisał o literaturze francuskiej, a potem o kwestiach obyczajowych. Boy nie był jednak wyłącznie autorem „Wiadomości...". Pisywał przede wszystkim dla „Kuriera Porannego", czasem dla krakowskiego IKC czy dla „Tygodnika Ilustrowanego". W 1931 r. Grydzewski powtórzył plebiscyt na akademików literatury. Wówczas pierwsze miejsce zdobył Boy-Żeleński, za nim byli Staff, Kaden-Bandrowski, Wacław Berent i Sieroszewski. Tuwim znalazł się na 11. miejscu, Kazimierz Wie-

eprasa.pl e719c8288f

rzyński na 17., a więc nie wszedłby do Akademii. Dwa lata później powołano Polską Akademię Literatury i żaden ze skamandrytów lansowanych przez Grydzewskiego nie został jej członkiem. Za to do PAL wszedł ignorowany przez redaktora Bolesław Leśmian. I dopiero od tej pory Grydzewski czasem go drukował.

Mieczysław Grydzewski był człowiekiem samotnym. Nie miał żony. Jest w tym jakaś tajemnica. Ze swoich prywatnych spraw nikomu się nie zwierzał. Uczucia przelewał na psy. Wierzyński wspominał sukę Fugę: „To śliczne zwierzę wolało mnie niż jego". Słonimski pisał, że redaktor miał parę psów. Według jednych nosiły imiona Voss i Fuga, według innych były to Faust i Flora. „Gdy artykuł nie nadawał się do wydrukowania, nazywało się to, że psy zjadły manuskrypt" – pisał Słonimski.

Okres monopolu „Wiadomości Literackich" skończył się w 1933 r., gdy powstał prorządowy tygodnik „Pion". Pisali tu Karol Irzykowski, Ferdynand Goetel, Wincenty Rzymowski i inni. Dwa lata później zaczęły wychodzić nacjonalistyczne „Prosto z Mostu" redagowane przez Stanisława Piaseckiego. Drukowali tam pisarze niechętnie widziani przez Grydzewskiego – Witold Gombrowicz, Gałczyński. Od tej pory pismo Piaseckiego stało się adresatem ataków „Wiadomości Literackich", a sam Piasecki był nieustannie atakowany przez Słonimskiego za... matkę Żydówkę.

Klęska 1939 r., napaść Niemiec i Związku Radzieckiego na Polskę przeorientowała światopogląd Mieczysława Grydzewskiego. Redaktor wyemigrował do Francji, następnie zamieszkał w Londynie, gdzie wydawał kolejne mutacje swojego tygodnika. I wówczas stał się tradycjonalistą i polskim patriotą. Bronił dobrego imienia Polski na arenie międzynarodowej, zaprzeczał kłamstwom o polskim antysemityzmie. Ujawniał antypolską politykę aliantów, krytycznie odnosił się do dawnych przyjaciół, jak Tuwim i Słonimski, którzy poparli komunizm i sławili Bieruta.

WIELBIŁ ŻEROMSKIEGO, WIĘC OD WYWIADU Z NIM ROZPOCZĄŁ DRUK PISMA. NAJBARDZIEJ CENIŁ JEGO... „DZIEJE GRZECHU".

W „Wiadomościach" dementował też pogłoskę, jakoby Adam Mickiewicz był po matce pochodzenia żydowskiego. Grydzewski prostował też „rewelację", jakoby Juliusz Verne był z pochodzenia polskim Żydem i urodził się w Płocku. Na roszczenia niemieckie do Kopernika Grydzewski zamieścił anegdotę o Chopinie, który w 1830 r. Prusakom twierdzącym, że astronom powinien być uważany za Prusaka, bo urodził się w Toruniu, powiedział: „Według waszego rozumowania Jezus Chrystus, rodząc się w Judei, powinien być uważany za Turka". W XIX stuleciu Ziemia Święta należała do Turcji i Chopin celnie to wykorzystał w polemice z pruskimi nacjonalistami.

Redaktor pozostał wierny niepodległej Polsce. Do londyńskich „Wiadomości" zaprosił dawnych przeciwników, np. Wacława Zbyszewskiego. W latach 60. w „Wiadomościach" ukazywał się dodatek „Na Antenie", gdzie można było przeczytać teksty audycji literackich emitowane wcześniej przez Radio Wolna Europa.

Na trzy lata przed śmiercią Mieczysław Grydzewski dostał udaru i długo przebywał w szpitalu. Początkowo jeszcze pracował, przygotowując materiały do nowych numerów. Zmarł 9 stycznia 1970 r. Nie dożył Polski niepodległej. S

CHOJNAC DRAJLUJE CHOJNACKI



eprasa.pl e719c8288f

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Siostry Wizytki zdołały przechować obrazy z epoki Wazów, sprzed 370 lat



„Wysiadłem przy Nowym Świecie i przeszedłem pod kościół Sióstr Wizytek pod wezwaniem Opieki Świętego Józefa Oblubieńca Niepokalanej Bogurodzicy Maryi. Jak na późny barok przystało, miał też barokową nazwę. Michał, organista w Świętym Krzyżu i u wizytek, już na mnie czekał. Weszliśmy do kościoła i od niewidocznej w mroku za kratą siostry kołowej wzięliśmy klucze. [...] Michał przywołuje mnie dłonią, kilka kroków po czymś w rodzaju drewnianego rusztowania. Wskazuje palcem szczelinę, widać w niej wnętrze ciemnego kościoła i świecącą na czerwono przed tabernakulum wieczną lampkę. Nikogo, tylko różowa poświata. Podglądamy kościół jak przez dziurkę od klucza”.

Tyle (choć i wiele więcej) w jednej z najlepszych książek prozatorskich ubiegłego roku w „Sierpniu” Pawła Sołtysa. A teraz, nagłym zrządzeniem, choć nie weszliśmy do infirmerii ani nigdzie indziej za klauzurę, możemy zobaczyć kilkanaście obrazów od Sióstr Wizytek. Pierwszy raz pewnie oglądane są przez świeckich od czasu, gdy znalazły się tam za królowej Ludwiki, żony Władysława IV, a potem Jana Kazimierza, protektorki klasztoru. Zwięzły, przejrzysty wstęp do katalogu przypomina dramatyczne losy klasztoru (pożary, epidemie, kontrybucje, zamknięcie nowicjatu przez władze carskie po Powstaniu Styczniowym, oblężenie Warszawy we wrześniu ’39 i Powstanie, i szare kłęby gazu łzawiącego niejednej wiosny) i tłumaczy, jak dzięki rozpoczętemu w 2022 roku projektowi możliwe stało się badanie, inwentaryzacja i konserwacja zbiorów.

Obrazy gromadzone w klasztorze nie są klasyczną „kolekcją”: trafiały tam jako dary penitentów i monarchów, były i są obiektami kultu, w ich stronę kierowane są modlitwy. Kluczem ich doboru nie była pewnie „wartość artystyczna” (jak inaczej zresztą rozumiano ją za Sobieskich i współcześnie!), a już na pewno nie myślano o jednorodności zbioru: na wystawie w Pałacu Czapskich pokazywane są tempery Camilla Procacciniego ze szkoły bolońskiej, płótna nieznanego malarza flamandzkiego, obrazy mazowieckiego anonimusa specjalizującego się najpewniej w portretach trumiennych i święta Elżbieta namalowana przez artystę ze Śląska. A mimo to mamy do czynienia z jednym z najcenniejszych (i najpełniejszych) zbiorów XVII-wiecznego malarstwa sztalugowego w Polsce.

Jest to przede wszystkim świetne świadectwo historyczne ukazujące nam kulturę, poszukiwania duchowe, zamożność i dynamikę tej epoki określanej czasem jako Srebrny Wiek lub czas zmierzchu: okresu panowania ostatnich Wazów, krótkiego interludium Michała Wiśniowieckiego i długiego regnum Sobieskiego. Pamiętamy zwykle z tej epoki potop szwedzki i wiktorię wiedeńską, może jeszcze zmagania z Moskwą i Stambułem, szukamy jej ech w „Panu Wołodyjowskim”, przeczuwamy już upadek czasów saskich. A przecież to okres także odbudowy stolicy i rozkwitu pobożności: na jednym z płócien widzimy matkę Teresę Marchocką, karmelitańską mistyczkę i autorkę pierwszej autobiografii pióra Polki, na innym księdza Piacieux, francuskiego kapucyna, spowiednika królowej Ludwiki i sióstr z Krakowskiego Przedmieścia. Na kolejnym – małą Franciszkę Olimpię, córkę medyka czynnego na dworze Sobieskich, ubraną w dziecięcy habit jako wotum za jej uzdrowienie, ale i zapowiedź jej klasztornego losu (mnie zaś od razu przychodzi na myśl również opisana wyobrażona przez Sołtysa Franciszka Kotowiczówna, która trafiła na naukę do wizytek w roku 1667 jako sześciolatka). Na brzegach obrazów wyeksponowanych – to rzadkość! – bez ram widać nalepki i dopiski wykonane czarnym i niebieskim tuszem, świadectwo nieklauzurowych zgoła zajęć: pospiesznego przycinania, pakowania, rolowania i chowania obrazów. Może po Powstaniu Styczniowym, może we wrześniu 1944 roku?

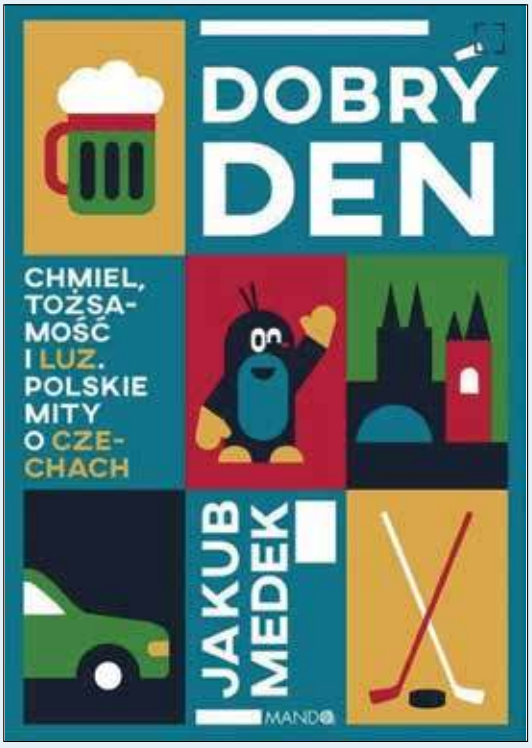
eprasa.pl e719c8288f

Ale można też zapomnieć wojny i powstania i po prostu patrzeć na świetnie wyeksponowane obrazy (tkwią w półmroku, rozjaśnione, niemal jarzące, ale bez blasków i blików, tak dręczących zwykle na wystawach: wielu kuratorów ma się czego uczyć od kolegów z ASP!). Cynober i zieleń, miedziowy błękit płaszcza Marii na tle jej żółtych szat w „Opłakiwaniu", szarozielone podmalowanie włosienicy św. Marii Egipcjanki i wyzłocone promienie jej aureoli. Święty Andrzej Bobola, drobny i zmasakrowany, z krótkim, siwiejącym wąsem, z krwią serdeczną płynącą z usieczonego ucha i rozciętej lewej dłoni; gdyby nie habit i aureola, można by go wziąć za aktywnego uczestnika jednego z sejmików. I doktorzy Kościoła, Ambroży i Grzegorz Wielki, godni i skupieni, w bieli i blasku, z tiarą obszytą (Ambroży) jedwabiem w odcieniu błękitu paryskiego.

Drewniane kołki, którymi przed blisko czterystu laty mocowano płótno do prostej, drewnianej ramy (te ozdobne, ciężkie i złocone zostały na czas renowacji zdjęte) są trochę jak narzędzia tortur Andrzeja Boboli, gdy został wzięty w jasyr, trochę jak szpilki, dzięki którym w mroźniejszej niż dziś Warszawie, w zimnych murach klasztoru chciano zachować na trochę motyle z włoskiego i hiszpańskiego Południa: rozwiane szaty w kolorach oranżu i szkarłatu, i szafranu.

„Thesaurus. Malarstwo barokowe z klasztoru Sióstr Wizytek w Warszawie", kuratorka Anna D. Potocka; Akademia Sztuk Pięknych (Pałac Czapskich), Krakowskie Przedmieście 5, 5–23.11.2025 r.

Mám vás rád



Wiadomo chyba powszechnie, że Polacy lubią Czechów (bardziej, tak przynajmniej wynika z badań opinii publicznej, tylko Włochów, Amerykanów i Hiszpanów) – i że nie przeszkadza im, że nie jest to relacja do końca zwrotna. Ale wiadomo też, że – jak mówi ksiądz Zbigniew Czendlik, proboszcz w parafii Lanškroun mieszkający w Czechach od trzydziestu lat: „Polacy nie tyle lubią Czechów, co swoje o nich wyobrażenia". A te, wiadomo, zwykle krążą wokół stereotypów: „czeski luz", piwo, i koniecznie „kakaový chlebíček".

Na szczęście jest trochę Polaków, którzy Czechów nie tylko lubią, lecz także rozumieją i potrafią o nich opowiadać. Wielkim, niedocenionym chyba tłumaczem czeskich i słowackich spraw (i powieści także) jest od lat pan Antoni Kroh, sporo pisuje Mariusz Surosz; przez lata o pozycję mistrza czechoznawstwa zabiegał Mariusz Szczygieł, nużąc jednak wielu czytelników celebrą, z jaką wprowadzał profanów w zaułki Hradczan.

Jako kolejny podjął się opowieści o Czechach Jakub Medek – jak sam mówi o sobie – „Czech urzędowo w stu procentach [...], biologicznie i kulturowo w połowie", dwujęzyczny i dwukulturowy, bez wątpienia. Zaczyna trochę od podstaw, są to lekcje czeskości dla starszych i średniozaawansowanych – ale wynagradza to bezpretensjonalność i przejrzystość tych gawęd o czeskim stosunku do przeszłości, ofiar, Rosji, Boga, o czeskim filmie, kuchni, luzie i piwie. Czasem odpływają bardziej w stronę reportażu z wypowiedziami lokalsów, czasem – szybkiej, inkrustowanej anegdotami panoramy historycznej (bardzo dobry, niczym półgodzinny miniwykład, tekst o czeskich postawach podczas wojny), czasem wystarczą prawie za popularny podręcznik językoznawstwa.

Ten ostatni przykład dobrze pokazuje „metodę Medka" i jej przewagi: potrafi on przerzucać się między dwiema tożsamościami, zrozumieć jednocześnie, czemu Polakom wydaje się zabawne to, co odbierają jako przesadne zdrobnienia czeszczyzny – i dlaczego Czesi uciekają się do nich w sposób zupełnie naturalny, nie dodając do maminki czy kafička emocji, które słyszą Polacy.

Doświadczenie Czech żywe, brane z codzienności, nie z miesięcznego pobytu na stypendium dla eseistów. Obfitość cytowanych zwrotów i terminów, zawsze z polskim przekładem, ale dająca nadzieję, że coś zostanie nam w głowie: nie tylko hladinka, ležak czy šnyt (te przecież poznaliśmy już podczas pierwszej wizyty w hospodzie), ale i espézetka, sprcha, čtvrť – każdy termin, który przyda się nam, gdy już wysiądziemy na stacji Praha hlavní nádraží. Bo przecież wybierzecie się tam Państwo niedługo, prawda?

Jakub Medek, „Dobrý den. Chmiel, tożsamość i luz. Polskie mity o Czechach", Wydawnictwo Mando, Kraków 2025.

eprasa.pl e719c8288f

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

PEZET – MUZYKA POPULARNA
WYD. WŁASNE



Podziwiam i szanuję Pezeta za to, że mu się jeszcze chce. Cały czas nie daje za wygraną, podąża za trendami. I to dostajemy na „Muzyce popularnej": współpracę z młodymi twórcami, sprawnie poskładane wersy oraz kawałki, które nie są robione na jedno kopyto. Fani starszych produkcji Pezeta mogą tu nie znaleźć miejsca, ale pozostali powinni to sprawdzić, bo u niego nigdy nie ma żenady, a tytuł bardzo mocno koresponduje z zawartością.

SHELLERINI – RAJZEFIBER
WYD. GAWROSZ



Rap w czystej postaci bez wymuszonego efektu, który ma za zadanie podbić media społecznościowe. Shellerini ma charakterystyczny wokal, który zapamiętuje się po pierwszym wersie. Klasyka podana w nowoczesny sposób, który nie jest żenujący i nie trąci „dziaderską" tęsknotą za dawnymi latami. Fani klasycznego rapu będą zadowoleni. A historie płyną, jak w dobrej książce czy filmie. Tu nie ma co się rozpisywać, tego trzeba słuchać. Polecam!

FLORENCE + THE MACHINE – EVERYBODY SCREAM
WYD. POLYDOR RECORDS/REPUBLIC RECORDS



No cóż, typowa Florence. Rozedrgana, emocjonalna i liryczna. Cieszę się, że nie ma na płycie gwałtownych wolt, których artyści później żałują. Słuchając płyty, czułem się, jakbym był w cyrku, który nie jest typowy. Nie ma prostackich zagrywek dla pustych oklasków. Mamy akrobatykę, mamy wyczyny, które mogą skończyć się niekoniecznie dobrze, natomiast efekt jest satysfakcjonujący. Tutaj nie ma odcinania kuponów. Jest jakość i moc. Takich płyt nam potrzeba.

KUKON – YOGA EP
WYD. ROUGH N' GENTLE



Co jest najmocniejszym punktem tego minialbumu? Przede wszystkim kobiety. One wnoszą tutaj dużo jakości i oryginalnych pomysłów. Przyjemnie słucha się gościnnych występów. Zwrotki czy refreny to znakomita uczta dla uszu i wrażliwości. Piękne jest to, że gospodarz jest tak gościnny, że goście przejmują płytę i modelują ją w wygodny dla siebie sposób. Jakby wyciąć zwrotki Kukona, płyta nie straciłaby w żadnym wymiarze. Poproszę o więcej takich eksperymentów, bo później pisze się superrecenzje takich albumów.

eprasa.pl e719c8288f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Monika Małkowska

Uzależnieni od sponsorów

Przez długie wieki średnie pozostawali bezimienni. Nie uważali się za wyjątkowych, na drabinie społecznej plasowali się na równi z rzemieślnikami. Żeby zrealizować dzieło, potrzebowali zaliczki na materiały, które przez swą trwałość, niedostępność i – w niektórych przypadkach – „świętość" pozostawały poza finansowymi możliwościami nawet najbardziej wziętego mistrza cechu malarskiego. Renesans dał im nazwiska i biografie, a także przesunął społeczną pozycję ku wcześniej nieznanym wyżynom. No, ale przydomek „boski" czy „kreator" zarezerwowany był dla bezsprzecznych geniuszy, a nawet oni musieli liczyć się z mecenatem możnych i wpływowych. Jedni z tych protektorów mieli umysły otwarte na twórcze wizje artystów, innym zaś bardziej zależało na schlebianiu (poprzez dzieła sztuki) ich próżności. Historia sztuki pełna jest spektakularnych przepychanek pomiędzy nowatorskimi koncepcjami wizjonerskich twórców a przyziemnym podejściem zamawiających. Czasem dochodziło do kompromisu („zgniłego", czyli dyktowanego rozsądkiem), innym razem mniej elastyczny autor popadał w niełaskę, biedę, nawet był skazany na banicję. Ale też zdarzało się, że to artysta odnosił zwycięstwo – siłą talentu, a przede wszystkim dzięki szerokim intelektualnym horyzontom sponsora i jego estetycznemu wyczuciu. Ot, choćby Ojcowie Kościoła, którzy zmienili oblicze Stolicy Apostolskiej za sprawą wybitnych artystów architektów, poczynając od Piusa II (zatrudnił Leona Battistę Albertiego), Sykstusa IV (nakazał budowę Kaplicy Sykstyńskiej), Juliusza II (mecenas Bramantego, Michała Anioła, Rafaela; zburzył starożytną Bazylikę św. Piotra i rozpoczął budowę nowej), Leona X (kontynuował dzieło poprzednika, zatrudniając tych samych geniuszy, w dodatku odnowił Uniwersytet Rzymski i przyczynił się do powstania ponad 10 tysięcy nowych budynków w Wiecznym Mieście). A skoro o Medyceuszach mowa (wszak Leon X to młodszy syn Wawrzyńca Wspaniałego) – do dziś Florencja odcina kupony od sławy (i niesławy) Lorenza, założyciela pierwszej w Europie akademii sztuk pięknych. Przeskakując kilka stuleci – inny, upaństwowiony system nauki i promocji artystów zapoczątkował we Francji Ludwik XIV, także ku swej sławie i chwale, lecz kładąc ostatecznie kres organizacji cechowej. To również uległo degeneracji, nepotyzmowi i skostnieniu, co odbiło się czkawką w XIX wieku, kiedy nauczanie sztuki przejęli prywatni przedsiębiorczy mistrzowie, uniezależnieni od instytucji państwowej. Trzeba wprawdzie było im płacić, ale nic poza tym. Artyści po raz pierwszy w historii poczuli się wyzwoleni od odgórnego mecenatu, co nie znaczy, że nie rozglądali się za sponsoringiem. Ich „dobroczyńcami" okazała się rosnąca w siłę i zasobność burżuazja. I żeby skrócić, po czerwonych rewolucjach wielu artystów uległo lewicowej ideologii, bo dawała im apanaże. Jeśli ktoś myśli, że obecnie „osoby twórcze" działają pod dyktando własnej woli, wyobraźni i niezależnie od polityki, jest w „mylnym błędzie". Publiczne galerie lansują autorów na usługach lewicowej narracji. I tych, którzy aktualnie dorwali się do władzy. Ale zapewniam – nie są to sponsorzy na miarę Medyceuszy.

eprasa.pl e719c8288f

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **11 LISTOPADA** zdarzyło się:

1843 – ukazała się baśń „Brzydkie kaczątko” Hansa Christiana Andersena;

1928 – przy okazji obchodów Święta Niepodległości plac Saski w Warszawie przemianowano na plac Marszałka Józefa Piłsudskiego.

„Poważna i dostojna Pani Kasztanka”,

CZYLI NAJSŁYNNIEJSZY KOŃ II RZECZYPOSPOLITEJ



Fot. Wikimedia Commons

22 listopada 1927 r. było już dwie godziny po północy, gdy rozdzwonił się telefon w warszawskim mieszkaniu lekarza weterynarii pułkownika Konrada Millaka. Zaspany pułkownik podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. – Tu oficer służbowy Komendy Miasta – mówi głos po drugiej stronie. – Panie pułkowniku, w tej chwili otrzymałem telefon z Mińska Mazowieckiego z 7. Pułku Ułanów. **Coś się Kasztance pana Marszałka stało w drodze powrotnej do Mińska**. Dowódca pułku prosi o pomoc.

Sebastian Reńca

eprasa.pl e719c8288f

Millak poprosił telefonującego oficera o jak najszybsze podstawienie samochodu. Pułkownik odłożył słuchawkę i od razu wykręcił numer podpułkownika dr. Józefa Kulczyckiego, komendanta Kadry Okręgowego Szpitala Koni, któremu streścił odbytą rozmowę i zapowiedział, że zabiera go ze sobą. Oficerowie dotarli do Mińska Mazowieckiego około godziny 5 rano...

Ostatnia defilada

„Między nimi istniało jakieś tajemne porozumienie, tak doskonałe, że oboje odczuwali swoje nastroje i nawzajem na siebie wpływali" – pisała Aleksandra Piłsudska w swych wspomnieniach. O kim tak pisała? Ano o swym mężu i... Kasztance. Najsłynniejszym koniu II Rzeczypospolitej.

W wolnej Polsce, gdy Marszałek mieszkał w Sulejówku, „od czasu do czasu przyprowadzano ją do męża i wtedy trudno było patrzeć bez wzruszenia, kiedy na powitanie pieściła rękę męża miękkimi wargami i szyją ocierała się o jego plecy" – wspominała pani marszałkowa.

W 9. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości – 11 listopada 1927 r., uroczystości, te państwowe i mniej oficjalne, trwały w Warszawie od samego rana. Dziękczynne nabożeństwo w katedrze św. Jana rozpoczęło się o godz. 10. Dopiero po jego zakończeniu, w samo południe, na placu Saskim odbyła się „wielka rewia wojskowa" – jak pisały gazety.

9 SIERPNIA 1914 R. PIŁSUDSKI OTRZYMAŁ KASZTANKĘ OD EUSTACHEGO ROMERA, WŁAŚCICIELA MAJĄTKU CZAPLE MAŁE, NIEDALEKO MIECHOWA.

„Punktualnie o godz. 12 w południe przybył na plac od strony ul. Wierzbowej prezes Rady Ministrów i minister spraw wojskowych Marszałek Piłsudski, przepasany wielką wstęgą Virtuti Militari i udekorowany wszystkimi posiadanymi odznaczeniami – relacjonował korespondent wileńskiego „Słowa". – Pana Marszałka powitał hymn narodowy, odegrany przez wszystkie orkiestry wojskowe. Oddziały sprezentowały broń".

Marszałek Józef Piłsudski przeszedł przed frontem oddziałów wojskowych. Generał Daniel Konarzewski przemówił do zebranych:

– Żołnierze! Twórca i organizator armii polskiej, któremu Polska zawdzięcza swe granice, a wojsko swój hart i waleczność żołnierską, pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski, niech żyje!

Odpowiedział mu okrzyk, który „tysięcznym echem odbił się o mury okalające plac Saski".

Następnie odbyła się defilada, którą Józef Piłsudski przyjął, siedząc na koniu, w otoczeniu generalicji. Był to ostatni raz, kiedy można było zobaczyć Marszałka i jego ukochaną Kasztankę.

Pułkownik Konrad Millak zachował w pamięci Marszałka, który „siedział na swej wierzchówce bez jakiejkolwiek ambicji kawalerskiej, ze stopami wysuniętymi naprzód i figurą nieco zgarbioną". Jeżeli chodzi o Kasztankę, to Millak tak ją zapamiętał z tamtego świątecznego dnia: „Pięknie lśniła czerwonawą żółcizną maści", a „szlachetną, niezbyt wzniesioną, typowo żeńską głowę unosiła od czasu do czasu do góry i delikatnie wracała do dawnej pozycji, nie szarpiąc spoczywającej na łęku siodła ręki Marszałka". Gdy Marszałek po salucie do orzełka na maciejówce opuszczał dłoń, „poważna i dostojna Pani Kasztanka" powtarzała niewielki ruch głową ku dołowi, „jakby to był gest przyzwolenia".

Po skończonej defiladzie Marszałek Józef Piłsudski zsiadł z konia, a ordynansi odprowadzili Kasztankę i rozluźnili popręgi.

Rozkapryszona klacz

Józef Piłsudski wielokrotnie wspominał swoją ukochaną Kasztankę. Była według niego „rozkapryszoną", „wiejską, rozpieszczoną klaczą". Gdy odczuwała jego „nerwy", „częściej wyrzucała do góry łbem, wyciągając mi niecierpliwie ze zmarzłych rąk cugle" – pisał Marszałek w swoich wspomnieniach z 1914 r. zatytułowanych „Moje pierwsze boje". „Kasztanka wyciąga ku mnie swój łysy łeb, szukając w moich rękach chleba. Na drogę przed zaroślami wyciąga się kolumna piechoty, która ma ze mną maszerować. Oglądam ludzi – twarze niewyspane, kaszel głuchy często rozlega się w szeregach, lecz oczy wesołe. Już wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że idziemy przed front, uśmiecha się im awantura. Na czele kolumny Śmigły, który wydaje jeszcze jakieś ostatnie polecenia. Jazda! Ruszamy!". Nieraz Piłsudski martwił się o nią, że „nogi połamie na wertepach"; nie raz, nie dwa podczas bojów z Moskalami kule świstały nad jego głową i końskim łbem Kasztanki, która bała się wystrzałów, szczególnie huków artylerii. Komendant uwielbiał jednak tego konia, który wielokrotnie go budził. Tak było też wtedy, gdy Piłsudski i jego straceńcy, co na stos rzucili swój życia

eprasa.pl e719c8288f

los, wjechali do Krakowa. Marszałek tak opisywał ten moment:

„Obudziła mnie Kasztanka, która nagle chrapiąc, zaczęła zwijać się pode mną i przysiadać na zadzie. Z wielkim hałasem i dudnieniem szedł naprzeciw nas automobil ciężarowy i Kasztanka, wychowanica wolnej wsi, protestowała przeciw takiemu monstrum. A ja, dumny i szczęśliwy, głaszcząc ją po błyskającej złotem w słońcu szyi, uspakajałem ją słowami:

– Głupia, w twoich Czaplach nie byłaś, ale za to jesteś w Krakowie, rozumiesz? W kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz? Ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!

Kasztanka cudów Krakowa przy samochodach zrozumieć nie chciała i drżała jeszcze na całym ciele, choć automobil dawno nas minął. Jego głuche dudnienie i warczenie, dochodzące nas z oddali, nie pozwalało się jej uspokoić". Na razie nie do Wilna, ale do Nowego Sącza wjechał Piłsudski na Kasztance. Na tamtejszym rynku przywitał ich tłum i lecące w ich kierunku „pociski kwiatów". „Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Niemało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe stworzenie szukało ucieczki. Musiałem Kasztankę ciągle pchać naprzód, tak, iż po wyjeździe z rynku poznałem i ja, że owacja coś kosztuje" – wspominał Piłsudski. Był początek grudnia 1914 r., Kasztanka służyła Piłsudskiemu od 9 sierpnia.

> ***Ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!***
>
> Marszałek JÓZEF PIŁSUDSKI

Spełniona obietnica

9 sierpnia 1914 r. Piłsudski otrzymał Kasztankę od Eustachego Romera, właściciela majątku Czaple Małe, niedaleko Miechowa. Klacz miała wówczas cztery lata i nazywano ją Fantazją. Przez następne lata służyła Józefowi Piłsudskiemu, zarówno w Legionach, jak i w niepodległej Polsce – wtedy była już Kasztanką. Jak pisali Wacław Jędrzejewicz i Janusz Cisek w „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego": „Wiernie mu służyła i była ulubienicą domu i żołnierzy". Do tej pory jeździła na niej Marysia, córka Romera. Która według tych, którzy ją znali, nazywana była „piękną amazonką".

Na chwilę Piłsudski musiał się rozstać z Kasztanką, gdy po kryzysie przysięgowym latem 1917 r. trafił do twierdzy w Magdeburgu. Stamtąd, niemal w 4. rocznicę wymarszu Kadrówki, 7 sierpnia 1918 r., pisał do swej ukochanej Oli Szczerbińskiej: „Za wiadomość o Kasztance dziękuję, naturalnie nie chcę, by ją sprzedano, ciekaw jestem, czy kuleje jeszcze i jakiego ma źrebaka, czy tak samo, jak ona ma białe nóżki". Kasztanka w tamtym czasie najprawdopodobniej przebywała w majątku pod Janowem Lubelskim.

W tamtym czasie klaczą opiekował się słynny kawalerzysta Władysław Belina-Prażmowski, o którym pięknie pisał gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski: „[...] czy mało kawaleria Polska zostawiła czynów godnych pamięci? Czyż jest Polak, czyż jest kawalerzysta, który bez słusznej dumy nie wspomniałby wyprawy wileńskiej i tych siedmiu szwadronów, które pod dowództwem Beliny, wyrzucone naprzód rozkazami Józefa Piłsudskiego szlakiem przez niego wyznaczonym, o świcie dnia 19 maja 1919 roku zdobyły Wilno i w chaotycznych walkach, przeciw więcej niż dziesięciokrotnej przewadze nieprzyjacielskiej, potrafiły je utrzymać aż do nadejścia własnej piechoty?". Dwa dni później, w Poniedziałek Wielkanocny, do swego ukochanego Wilna wjechał Józef Piłsudski, który pisał później, że do żadnego zdobytego miasta nie wjeżdżał z takim uczuciem jak do Wilna. Oczywiście wjeżdżał na Kasztance, wszak jej to zapowiedział.

Edward Rydz-Śmigły tak opisywał tamten moment: „Naczelny wódz przybył. Jedziemy konno od dworca, pod Ostrą Bramę do miasta. Tłumy śmiejące się, płaczące, rzucające kwiaty, dzieci wbiegające między konie, które denerwują się i ślizgają na nierównym bruku. Spojrzenia nabrzmiałe łzą i pieszczotą, gdyby mogli, rzucaliby serca pod kopyta końskie. Jesteśmy dla nich uosobieniem siły, polotu, dobroci, piękna – wszystko, co jest nasze, jest śliczne".

„DZIĘKI SWEJ ŁAGODNOŚCI, PIESZCZOTLIWOŚCI I WIERNOŚCI" KASZTANKA „ZDOBYŁA SERCE SWEGO PANA".

eprasa.pl e719c8288f

Na drugi dzień Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, którą kazał wydrukować po polsku, litewsku, białorusku i żydowsku, świadomie pomijając rosyjski. Naczelnik pisał m.in.: „Wojsko Polskie niesie wam wszystkim wolność i swobodę. Chcę dać wam możność rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie...". Niestety, ale to nie był jeszcze ten czas, by Wilno znalazło się w polskich granicach. Ostatecznie stało się to dwa lata później.

> ***Komendant był tak zgryziony tą stratą, że odmówił przyjęcia dowódcy pułku z raportem o zgonie swojej ulubionej Kasztanki.***
>
> EMIL JERZY CZERNIAWSKI

Marszałek nie przyjął raportu

Kawalerzysta Wiesław Lasocki, autor m.in. książki „Zwierzęta i żołnierze", w jednym ze swoich tekstów opisywał Kasztankę jako konia lekkiej budowy, maści jasno-kasztanowej, z trzema nogami białymi w pęcinach i dużą białą „łysiną" na głowie. Choć był to koń słabego zdrowia, nerwowy i lękliwy, to – jak pisał Lasocki – „Dzięki swej łagodności, pieszczotliwości i wierności" Kasztanka „zdobyła serce swego pana", który „myślał o niej i troszczył się o nią nawet w bardzo dla siebie ciężkich chwilach".

W roku 1920, gdy zmartwychwstała Polska świętowała 11 listopada niepodległość, Piłsudski na swojej Kasztance przyjmował defiladę. O tamtych chwilach Marszałek mówił w radiu:

– Czar nad czary i dziw nad dziwy. Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec jej szary i brudny. I łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana: ten sam, samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Grzmią bębny, brzmią trąby mosiężne, idzie lud zbrojny... Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi...

Kasztanka najpierw trafiła do stajni belwederskich, a od roku 1922 do 7. Pułku Ułanów Lubelskich w Mińsku Mazowieckim. Klacz nie tylko odwiedzała Marszałka w Sulejówku, ale również Piłsudski z rodziną bywał u niej w stajni pułkowej. Z tych wizyt podobno bardzo cieszyły się córki Marszałka.

Ulubienica Józefa Piłsudskiego dwukrotnie się ożrebiła. „Miała syna imieniem Niemen. Był to biały ogier, który w służbie mężowi miał zastąpić swą matkę. Niestety, jabłko padło daleko od jabłoni. Niemen odziedziczył po matce jedynie urodę, ale nie było w nim ani śladu jej ognia i inteligencji. Był z natury leniwy do tego stopnia, że największą szybkością, na jaką mógł się zdobyć, był ślamazarny trucht. Córka jej Mera podobna była do Niemena" – pisała Aleksandra Piłsudska. Imię Mera było na pamiątkę rzeczki przepływającej przez Zułów, majątek rodziny Piłsudskich, o której tak pisał Bogdan Urbankowski w swojej dwutomowej pracy o Piłsudskim: „Wąska, ale miejscami głęboka do trzech metrów..., która półkolem otaczała zułowski dwór, naddawała się znakomicie do łowienia ryb, raków i oczywiście do kąpieli".

W tydzień po 9. rocznicy odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości Kasztanka wracała do pułkowej stajni w Mińsku Mazowieckim. Oficer, który opiekował się klaczą, odesłał zwierzę bez eskorty. Kawalerzysta pułkownik Józef Smoleński wspominał po latach, że Kasztanka w drodze do Mińska Mazowieckiego, będąc sama w wagonie, doznała obrażeń krzyża „prawdopodobnie na skutek gwałtownego przesuwania wagonów", ponadto przeziębiła się. Pułkownik Konrad Millak pisał, że szeregowiec, który jechał z koniem w wagonie, tłumaczył się tym, że zasnął i niczego nie słyszał, nie widział.

Gdy pociąg zatrzymał się na stacji i otwarto wagon, Kasztanka leżała i nie mogła się podnieść. Wtedy wyniesiono ją i przewieziono do koszar. Tam klaczą zajęło się kilku weterynarzy, ale stan jej zdrowia się nie poprawiał. Zakończyła życie po czterech dniach.

Emil Jerzy Czerniawski, legionista i oficer I Brygady, wspominał, że „Komendant był tak zgryziony tą stratą, że odmówił przyjęcia dowódcy pułku z raportem o zgonie swojej ulubionej Kasztanki".

SKÓRĘ I SZKIELET KASZTANKI, PO SPREPAROWANIU, UMIESZCZONO W MUZEUM WOJSKA.

Józef Smoleński pisał, że skórę i szkielet Kasztanki, po spreparowaniu, umieszczono w Muzeum Wojska, „resztki pogrzebano w parku koszarowym, naprzeciwko budynku dowództwa pułku". W tamtym miejscu postawiono kamień z inskrypcją „Tu leży Kasztanka. Klacz Marszałka Piłsudskiego". Ponadto w muzeum pułkowym gromadzono pamiątki po Kasztance oraz eksponowano jej portret pędzla Wojciecha Kossaka.

eprasa.pl e719c8288f

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Solidarność w Brukseli



Fot. Solidarność

Przewodniczący Solidarności Piotr Duda wraz z członkami Prezydium Komisji Krajowej udał się w minionym tygodniu do Brukseli. W stolicy Belgii związkowcy spotkali się z polskimi eurodeputowanymi do Parlamentu Europejskiego reprezentującymi frakcję Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a także z sekretarz generalną Europejskiej Konfederacji Związku Zawodów Esther Lynch.

Tematem spotkań była między innymi unijna polityka klimatyczna wyrażona w strategii Europejskiego Zielonego Ładu, a zwłaszcza system ETS, którego druga odsłona ma wejść w życie od 2028 roku. Przesunięcie terminu o rok to najnowsza decyzja, którą podjęli ministrowie środowiska na ostatnim posiedzeniu Rady UE. Ustalono tam również, że UE zredukuje do 2040 roku emisje CO_2 o 90 proc. w porównaniu do poziomu z 1990 roku.

Rozmowy w Brukseli dotyczyły też dalszych losów unijnej dyrektywy ws. adekwatnych wynagrodzeń minimalnych w UE, która może trafić do kosza, ponieważ rządy Szwecji i Danii zaskarżyły ją do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, argumentując, że narusza traktaty UE i ingeruje w systemy krajowe.

Po spotkaniu z polskimi europarlamentarzystami politycy wraz z delegacją Solidarności złożyli kwiaty na Esplanadzie im. Solidarności 1980.

WIECZNY ODPOCZYNEK RACZ IM DAĆ, PANIE

Przed Dniem Zadusznym na cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku w imieniu Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Grzegorz Adamowicz złożył kwiaty i zapalił znicze na grobach Danuty Siedzikówny „Inki” oraz Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”.

Danuta Siedzikówna była sanitariuszką Armii Krajowej. Po aresztowaniu Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku skazał ją na karę śmierci. Przed egzekucją przesłała swoim siostrom kilka słów, w których prosiła, aby powiedzieć jej babci, że „zachowała się, jak trzeba”.

„Inka” została rozstrzelana 28 sierpnia 1946 roku w Gdańsku na kilka dni przed swoimi 18. urodzinami wraz z Feliksem Selmanowiczem „Zagończykiem”, starszym sierżantem Zgrupowania Armii Krajowej mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.

Wiceprzewodniczący Solidarności nawiedził także grób Macieja Płażyńskiego w kościele Mariackim. Polityk pełnił w przeszłości funkcję marszałka Sejmu, posła, senatora i wojewody gdańskiego. W latach 80. był współzałożycielem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, kierował strajkiem okupacyjnym na Uniwersytecie Gdańskim i działał w opozycji solidarnościowej. Zginął w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 roku.

Następnie na cmentarzu Srebrzysko przewodniczący Adamowicz złożył wiązankę kwiatów na grobie „matki Solidarności”. Anna Walentynowicz, która również poniosła śmierć w drodze na uroczystości upamiętniające 70. rocznicę zbrodni

eprasa.pl e719c8288f


Fot. M. Zegliński

„Hańba! Nie może być pozwolenia na szkalowanie tych, którzy służą naszej Ojczyźnie. Wyrażam pełną solidarność z kapitan Anną Michalską, od której odwróciło się uśmiechnięte państwo Tuska”.

Piotr Duda, przewodniczący „S”, portal X, 5 listopada br.

katyńskiej, to legenda Solidarności. To dla niej stanęła Stocznia Gdańska, gdy zaledwie na pięć miesięcy przed osiągnięciem wieku emerytalnego zwolniono ją z pracy.

Rok temu związkowcy upamiętnili Annę Walentynowicz, umieszczając na gdańskim budynku Solidarności tablicę poświęconą jej osobie.

MARSZ GWIAŹDZISTY W KATOWICACH

Związkowcy z Solidarności przeszli ulicami Katowic we wspólnej manifestacji zorganizowanej przez organizacje wchodzące w skład Międzyzwiązkowego Komitetu Protestacyjno-Strajkowego Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Pracownicy wyruszyli w marszu gwiaździstym z trzech miejsc i spotkali się pod gmachem Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego przy akompaniamencie bębnów, syren i trąbek. W petycji skierowanej do premiera Donalda Tuska domagali się sprawiedliwej transformacji Śląska zgodnie z zapisami Umowy Społecznej, rewizji Zielonego Ładu, a w szczególności systemu ETS, ratunku polskiego hutnictwa zmagającego się z importem stali ze Wschodu, wypracowania ze związkami zawodowymi planu ratunkowego dla Jastrzębskiej Spółki Węglowej oraz wycofania unijnego zakazu sprzedaży nowych aut spalinowych po 2035 roku. Lista postulatów trafiła na ręce wojewody śląskiego Marka Wójcika.

– Na całym świecie w tym roku padnie rekord. Wydobędzie się i spali 9 mld ton węgla kamiennego. W Polsce 40 mln ton. I mówią nam, że musimy zamknąć kopalnie, zlikwidować elektrownie węglowe, bo uratujemy świat. I niektórzy ministrowie w to wierzą – mówił w trakcie protestu Bogusław Hutek. – Jesteśmy tutaj po to, żeby obronić polski przemysł. I mam nadzieję, że dzisiaj ze Śląska pójdzie iskra na cały kraj – podkreślił szef górniczej „S”.

INTEGRACJA ZAKŁADÓW PLK WSTRZYMANA

Zarząd PLK S.A. podjął decyzję o wstrzymaniu integracji Zakładów Linii Kolejowych w trybie przedstawionym do konsultacji społecznych. Władze Polskich Linii Kolejowych zatrzymały proces, ponieważ w trakcie konsultacji społecznych otrzymały wiele uwag dotyczących sposobu i zakresu planowanych zmian ze strony związków zawodowych, parlamentarzystów i samorządów lokalnych.

Integracja zakładów linii kolejowych miała dotyczyć 12 jednostek i wejść w życie od 1 stycznia 2026 roku.

Proces miał polegać na włączeniu mniejszych zakładów do większych jednostek. IZ Siedlce miało zostać dołączone do IZ Białystok, IZ Nowy Sącz do IZ Kraków, IZ Skarżysko-Kamienna do IZ Kielce, IZ Ostrów Wielkopolski do IZ Poznań, IZ Częstochowa do IZ Sosnowiec, a IZ Wałbrzych do IZ Wrocław.

Przeciwko zmianom od początku protestowała Solidarność. Związkowcy nazywali proces nie „integracją”, a „likwidacją” sześciu zakładów linii kolejowych, i wskazywali, że decyzja Zarządu została podjęta bez konsultacji społecznych.

We wrześniu przewodniczący Krajowego Sekretariatu Transportowców NSZZ „Solidarność” Zdzisław Jasiński wystosował w tej sprawie pismo do wiceministra infrastruktury Piotra Malepszaka. Kolejnym krokiem były protesty. Pierwszy z nich odbył się 15 października przed budynkiem Ministerstwa Infrastruktury, a kolejny 30 października w Siedlcach przed dworcem PKP. Pracownicy kolei obawiali się, że integracja zakładów spowoduje zwolnienia pracowników i utratę miejsc pracy.

M.K.

Kalendarium Solidarności

18.11.1986 – NSZZ „Solidarność” zostaje członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych oraz Światowej Konfederacji Pracy;

15.11.1989 – prezydent Lech Wałęsa przemawia w Kongresie USA, wypowiadając słowa: „My, naród...”, i zostaje odznaczony Medalem Wolności;

17.11.2003 – w 24-godzinnym strajku ostrzegawczym górniczej Solidarności w śląskich kopalniach wzięło udział 35 tys. osób.

eprasa.pl e719c8288f

Ratyfikacja ZEKS
– impuls do lepszej ochrony pracowników

– Jestem zdecydowanym zwolennikiem ratyfikacji Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej. Byłby to jasny sygnał, że Polska bardzo poważnie podchodzi do ochrony uprawnień pracowników. Przyjęcie ZEKS byłoby dodatkowym impulsem, by zwiększać ochronę w obszarze praw pracowniczych i socjalnych – mówi prof. **Marcin Wujczyk** w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.



Fot. arch. Marcina Wujczyka



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl e719c8288f

– Polska jako członek Rady Europy jest sygnatariuszem Europejskiej Karty Społecznej. Dokument stawia za cel zapewnienie obywatelom sprawiedliwych warunków pracy, wynagrodzenia, prawa do pomocy społecznej czy medycznej. Co dzieje się, jeśli sygnatariusz nie wywiązuje się z tych zobowiązań?

– Europejska Karta Społeczna nakłada określone obowiązki na państwo. Nie zawiera jednak tak sprecyzowanych praw, na które mógłby powołać się obywatel jako jednostka. Są to bardziej wytyczne skierowane do państwa, które zobowiązuje się ich przestrzegać. Ochrona obywatela odbywa się w ramach tzw. procedury raportowej, w której Europejski Komitet Praw Społecznych analizuje, czy państwo spełnia zobowiązania, czy nie. Jeżeli nie, to wówczas kieruje rekomendacje, które mają na celu wdrożenie odpowiednich zmian.

Te rekomendacje i wytyczne wynikające z Karty mogą potem posłużyć sądom jako dodatkowy argument w orzecznictwie przy sprawach dotyczących tego, jakie uprawnienia przysługują obywatelowi.

Drugi element, w którym w większym stopniu można opierać się na Karcie, stanowi mechanizm skarg zbiorowych. W takiej sytuacji związki zawodowe, a także międzynarodowe i krajowe NGO-sy, mogą pozwać dany kraj przed Europejski Komitet Praw Społecznych, domagając się stwierdzenia, że państwo nie realizuje zobowiązań, pod którymi się podpisało. To jest procedura bardzo podobna do tej, która toczy się przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Wtedy stroną jest kraj, a skarżącym na przykład związek zawodowy.

Nie ma przy tym jednak tak surowych sankcji jak w przypadku ETPC, niemniej jest to mocny mechanizm, który wskazuje, że państwo nie przestrzega Europejskiej Karty Społecznej i – jak już wcześniej wspomniałem – daje to później prawo sądom do powołania się na orzeczenie Komitetu.

– Polska nie przyjęła wszystkich zapisów Karty. W 2011 roku nasz kraj wypowiedział artykuł 8 w części dotyczącej zakazu zatrudniania kobiet w kopalniach pod ziemią oraz przy innych niebezpiecznych pracach. To znaczy, że możemy wybierać sobie określone zapisy?

– Mechanizm ratyfikowania Karty jest dość skomplikowany i faktycznie umożliwia taki wybór à la carte. Państwo musi jednak spełnić trzy warunki. Po pierwsze trzeba zadeklarować, że kraj uznaje cele wymienione w pierwszej części Karty i będzie dążył do ich realizacji. Są to na przykład zobowiązania do zagwarantowania pracownikom skutecznej ochrony warunków pracy, ochrony zdrowia i bezpieczeństwa czy prawa do rokowań zbiorowych. Drugi warunek to ratyfikowanie podstawowych, najważniejszych uprawnień ujętych w części drugiej Karty. I tu są następujące prawa: prawo do pracy, do zrzeszania się, do prowadzenia akcji zbiorowych, do zabezpieczenia społecznego, do ochrony zdrowia, do ochrony rodziny i prawa migrantów. I tutaj znowu nie trzeba wszystkich ratyfikować, ale można co najmniej pięć z nich.

Trzeci warunek, również dotyczy drugiej części Karty – państwo musi w tym obszarze ratyfikować minimum 10 artykułów albo łącznie 45 ustępów z poszczególnych postanowień Karty.

Mechanizm jest więc skomplikowany, ale z drugiej strony daje krajom dużą elastyczność i może skłonić je do tego, żeby w pierwszej kolejności zdecydowały się na ratyfikację Karty poprzez wybór tych postanowień, które są dla danego państwa najmniej kontrowersyjne. Wtedy rząd nie musi obawiać się tego, że nie spełni jakiś standardów. Dzięki temu może z upływem czasu zwiększać poziom ochrony, przyjmując kolejne zobowiązania wynikające z Karty. Nie musi przyjmować wszystkiego naraz.

– W połowie lat 90. wprowadzono do Karty uzupełnienia i tak powstała Zrewidowana Europejska Karta Społeczna. Zmiana nie była chyba tylko formalna, skoro do dziś żaden polski rząd nie zdecydował się na ratyfikację ZEKS. Jakie były najważniejsze punkty tej nowelizacji?

– Na zrewidowanie Karty wpłynęło kilka kwestii. Pierwsza z nich dotyczyła reinterpretacji niektórych uprawnień i ich szerszego ujęcia. Zmieniło się na przykład spojrzenie na przepisy dotyczące równego traktowania, ochrony macierzyństwa, tego, jak kobieta powinna być traktowana w ciężkich warunkach pracy, czy wreszcie zmienił się zakres ochrony osób z niepełnosprawnościami.

PRZYCZYN NIECHĘCI DO RATYFIKACJI ZEKS UPATRUJĘ W TYM, ŻE POLITYCY NIE CHCĄ PODDAWAĆ SIĘ OCENIE ORGANÓW MIĘDZYNARODOWYCH.

eprasa.pl e719c8288f

Po drugie, zdefiniowano kilka nowych uprawnień, które powinny zostać zagwarantowane pracownikom, a które nie znalazły się w pierwotnym dokumencie z 1961 roku. Te nowe uprawnienia to między innymi prawo do ochrony przed ubóstwem, prawo do schronienia, prawo do ochrony w przypadku zwolnienia z pracy czy ochrona przed molestowaniem seksualnym. Chodziło o to, aby uaktualnić Kartę tak, by odpowiadała oczekiwaniom pracowników i zapewniała im szerszą ochronę.

– Co według Pana jest powodem tego, że politycy nie chcą ratyfikować ZEKS? Czy są to niechęć do przyjmowania na siebie nowych zobowiązań czy może zastrzeżenia do konkretnych zapisów? Jakich argumentów użyłby Pan, aby przekonać ich do ratyfikacji ZEKS?

– Faktycznie Polska ratyfikowała tylko część postanowień EKS, ale nie zdecydowała się na przyjęcie Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej. Myślę, że podstawowa przyczyna tego jest taka, że nikt nie lubi być upominany za niezrealizowanie określonych postanowień. Z drugiej strony, takich niespełnionych standardów nie jest wiele i Polska mogłaby wdrożyć większość zaleceń stawianych przez ZEKS.

Przyczyn niechęci do ratyfikacji upatruję w tym, że politycy nie chcą poddawać się ocenie organów międzynarodowych. To widzimy również teraz zarówno w kontekście Unii Europejskiej, jak i Rady Europy. I w tym przypadku jest podobnie.

– Pana zdaniem nasz kraj powinien jednak pójść tą ścieżką i ratyfikować ZEKS?

– Jestem zdecydowanym zwolennikiem ratyfikacji ZEKS. Byłby to jasny sygnał, że Polska bardzo poważnie podchodzi do ochrony uprawnień pracowników. Byłby to też sygnał dla innych państw, które podobnie jak Polska wahają się w sprawie ratyfikacji. Wreszcie przyjęcie zrewidowanej Karty byłoby dodatkowym impulsem, by zwiększać ochronę w obszarze praw pracowniczych i socjalnych.

– W listopadzie ubiegłego roku upłynął termin implementacji unijnej dyrektywy, której celem jest m.in. zwiększenie zasięgu rokowań zbiorowych. Podobny zapis znajduje się w artykule 6 Karty. Nawołuje on do zapewnienia skutecznego wykonywania prawa do rokowań zbiorowych. Niski poziom układów zbiorowych to Pana zdaniem istotny problem polskiego rynku pracy?

– Ja bym powiedział, że jest to istotny problem, ale też w pewnym sensie utracona szansa. Tradycje i kultura prawna krajów, w których układy zbiorowe są rozwinięte, pokazują, że jest to dobry mechanizm do wypracowywania kompromisów uwzględniających potrzeby pracowników i możliwości przedsiębiorców. Brak tych mechanizmów, a właściwie ich wymieranie w Polsce, powoduje, że kultura dyskutowania, ścierania się i wypracowywania kompromisów nie wykształciła się. Gdyby pojawiły się mechanizmy zachęcające do negocjowania układów zbiorowych, to na pewno miałoby to pozytywny skutek dla ochrony praw pracowniczych.

TRADYCJE I KULTURA PRAWNA KRAJÓW, W KTÓRYCH UKŁADY ZBIOROWE SĄ ROZWINIĘTE, POKAZUJĄ, ŻE JEST TO DOBRY MECHANIZM DO WYPRACOWYWANIA KOMPROMISÓW.

KULTURA DYSKUTOWANIA, ŚCIERANIA SIĘ I WYPRACOWYWANIA KOMPROMISÓW NIE WYKSZTAŁCIŁA SIĘ W POLSCE.

Dr hab. Marcin Wujczyk – profesor w Katedrze Prawa Pracy i Polityki Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Europejskiego Komitetu Praw Społecznych Rady Europy w latach 2013–2018, autor licznych opracowań dotyczących indywidualnego i zbiorowego prawa pracy.

eprasa.pl e719c8288f

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Dziś publikujemy Pańskie zdjęcie z Marszu Niepodległości sprzed kilku lat. Ale nie dlatego, że widoczny jest na nim sam marsz, ale dlatego, że sfotografował Pan transparent upamiętniający kpt. Piotra Kabatę.

Tomek: – Tak. To dla mnie ważna postać. W czasie wojny kpt. Kabata uczestniczył w walkach w okolicach Sandomierza. Walczył także z „Jędrusiami", a więc był w kontakcie z moją Mamą.

– Po wojnie losy kpt. Kabaty także splatały się z losami Pańskiej rodziny.

– Po wojnie został skazany przez komunistyczny sąd na karę śmierci, która następnie została zamieniona na 10 lat pozbawienia wolności. Karę odbywał m.in. w Płocku, w którym wówczas mieszkaliśmy. Mimo to, kpt. Kabata wolał się z nami nie kontaktować, dla naszego bezpieczeństwa.

– Pokazał mi Pan też zdjęcia syna kpt. Kabaty, który do Polski przyjechał dopiero w latach 90.

– On już w czasie wojny wyemigrował do Kanady. Tam mieszkał, ale w latach 90. odwiedził Polskę i spotkał się z przyjaciółmi z „Jędrusiów". Byłem obecny podczas tego spotkania, to było dla mnie bardzo wzruszające zobaczyć towarzyszy Mamy z czasów jej walki.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl e719c8288f

PRAWO

TELEFON PRZED TWARZĄ POLICJANTA, czyli nagrywanie policjanta podczas interwencji

Podczas spaceru w parku zauważyłem, że policjant podszedł do grupy osób, które głośno rozmawiały. Zdecydowałem się nagrać interwencję telefonem, aby na wszelki wypadek mieć dowód, jak przebiegła ta sytuacja. W pewnym momencie policjant mnie zauważył i **wezwał do tego, żebym przestał nagrywać**. Nie wiem, czy miał prawo mnie do tego zmusić. Czy mogę legalnie nagrywać policjantów w trakcie wykonywania ich obowiązków w miejscu publicznym?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Nagrywanie policjantów w miejscu publicznym jest co do zasady dozwolone pod warunkiem, że nie utrudnia to wykonywania przez nich obowiązków służbowych. Funkcjonariusze publiczni podczas interwencji działają w ramach swoich kompetencji wynikających z prawa, a ich czynności mają charakter publiczny. Obywatel ma prawo rejestrować przebieg takich zdarzeń, szczególnie jeśli chce zabezpieczyć dowód lub upewnić się, że interwencja przebiega zgodnie z prawem. Warto jednak pamiętać, że nagrywanie policjanta nie oznacza, że można mu trzymać telefon przed twarzą czy utrudniać wykonywanie obowiązków. Policjant ma prawo zwrócić uwagę lub poprosić o zachowanie odległości, jeśli uzna, że nagrywanie zakłóca czynności służbowe. Prawo do nagrywania nie może naruszać porządku interwencji ani bezpieczeństwa funkcjonariuszy. Często można usłyszeć, że nie wolno nagrywać policjanta, bo „to narusza jego wizerunek". To nie do końca prawda. Zgodnie z ustawą o prawie autorskim i prawach pokrewnych wizerunek osoby stanowi jej dobro osobiste i co do zasady wymaga zgody na publikację. Jednak w przypadku funkcjonariuszy publicznych, którzy wykonują swoje obowiązki w miejscu publicznym, publikacja ich wizerunku w kontekście wykonywanej funkcji nie wymaga zgody. Oznacza to, że samo nagranie policjanta w trakcie interwencji nie jest naruszeniem jego prawa do wizerunku. Oczywiście, publikowanie nagrania w internecie w sposób obraźliwy, manipulujący lub wyśmiewający może już stanowić naruszenie dóbr osobistych, ale to zupełnie inna kwestia. Nagrywając interwencję, należy pamiętać o kilku zasadach: przede wszystkim nie utrudniaj działań policjanta, nie wchodź między funkcjonariusza a osobę kontrolowaną, nie blokuj drogi. Nie prowokuj ani nie komentuj agresywnie, nagranie nie może być sposobem na eskalację sytuacji. Zachowaj dystans, tj. utrzymuj bezpieczną odległość, i nie zasłaniaj pola widzenia funkcjonariusza. Opcjonalnie informuj, choć to nie jest wymagane prawem – krótkie poinformowanie o nagrywaniu często zmniejsza ryzyko konfliktu. Nagrania mogą być przydatnym dowodem w razie sporu lub postępowania kontrolnego. Dobrą praktyką jest również zabezpieczenie nagrania w sposób chroniący dane osób postronnych lub zamazanie twarzy funkcjonariuszy, jeśli materiał trafia do internetu.

Nagrywanie policjanta podczas interwencji jest więc legalne, o ile nie utrudnia mu wykonywania obowiązków. Funkcjonariusz w przestrzeni publicznej nie korzysta z pełnej ochrony prawa do wizerunku w takim zakresie jak osoba prywatna.

eprasa.pl e719c8288f

Obywatel ma prawo dokumentować przebieg zdarzenia, ale musi robić to z poszanowaniem zasad bezpieczeństwa i kultury osobistej. Świadome korzystanie z tego prawa nie tylko chroni obywatela, ale też sprzyja przejrzystości i zaufaniu do służb mundurowych, a to wartość, o którą obie strony powinny dbać.

CECHY STOSUNKU PRACY (cz. 2)

W drugiej części artykułu poświęconego charakterystyce stosunku pracy przybliżone zostaną pozostałe (poza wyjaśnioną w pierwszej części dobrowolnością) cechy, których wystąpienie w relacji pomiędzy zatrudnianym a zatrudniającym powoduje, że mamy do czynienia z zatrudnieniem pracowniczym.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Podporządkowanie jest niezwykle charakterystyczne dla stosunku pracy i oczywiście to pracownik jest podporządkowany w procesie pracy pracodawcy (praca jest wykonywana pod kierownictwem pracodawcy). Formalnym tego wyrazem jest prawo pracodawcy do wydawania wiążących poleceń, za pomocą których może on wyznaczać pracownikowi zadania do wykonania, określać sposób ich realizacji, a także decydować o miejscu i czasie ich wykonywania. Wyrazem podporządkowania jest także podleganie regulaminowi pracy oraz prawo pracodawcy do stosowania wobec pracowników kar i nagród. Oczywiście podporządkowanie pracownicze ma swoje granice wyznaczane umową o pracę, ale także przepisami prawa (np. co do zasady pracodawca wyznacza pracownikowi miejsce wykonania danego zadania w ramach miejsca pracy określonego w umowie, ale ma też ustawowe prawo wysłać pracownika poza takie miejsce w ramach podróży służbowej).

Odpłatność stosunku pracy oznacza, że praca nie może być wykonywana bez wynagrodzenia, co obejmuje także zakaz zrzeczenia się prawa od wynagrodzenia przez pracownika (nawet jednak od tej zasady są pewne wyjątki, np. brak prawa do wynagrodzenia oraz dodatku z tytułu pracy w godzinach nadliczbowych dla pracowników zarządzających w imieniu pracodawcy zakładem pracy, jeżeli wykonują pracę poza normalnymi godzinami pracy).

Osobiste świadczenie wiąże się z tym, że podpisując umowę o pracę, pracownik bierze na siebie zobowiązanie do świadczenia pracy, a nie zobowiązuje się do tego, że zapewni pracodawcy wykonanie pracy. W praktyce oznacza to, że pracownik nie może posłużyć się zastępcą do wykonania swojej pracy. Jeżeli nie jest on zdolny do wykonywania pracy (np. w wyniku choroby), to jego obowiązkiem jest poinformować o tym pracodawcę. Nie może on „wysłać" w swoje miejsce innej osoby (ewentualne zastępstwo organizuje pracodawca, np. wyznaczając inną osobę do wykonania pracy za nieobecną osobę lub zatrudniając kogoś na zastępstwo).

Skooperowanie uwzględnia fakt, że praca w stosunku pracy wykonywana jest zawsze zespołowo (nawet jeśli pracodawca zatrudnia tylko jednego pracownika, to już te dwie osoby tworzą pewien zespół).

Bardzo charakterystyczne dla stosunku pracy jest obciążenie pracodawcy ryzykiem związanym z procesem pracy – wyróżnia się przy tym ryzyko: ekonomiczne (wymóg wypłaty wynagrodzenia niezależnie od sytuacji finansowej pracodawcy), techniczne (wymóg wypłaty wynagrodzenia, jeżeli praca nie jest świadczona z powodów technicznych, np. awarii urządzeń w zakładzie pracy), osobowe (ryzyko dotyczące wyboru właściwej osoby do danej pracy) oraz socjalne (związane z tym, że pracownik może nie być zdolny do świadczenia pracy, czy to z powodów zdrowotnych, rodzinnych czy innych, a jego nieobecność będzie musiała być traktowana jako usprawiedliwiona, a niekiedy także za czas tej nieobecności pracodawca musi zapłacić wynagrodzenie).

Wreszcie stosunek pracy charakteryzuje się tym, że zobowiązanie pracownika obejmuje staranne wykonywanie pracy, a nie osiągnięcie założonego rezultatu (oczywiście pracodawca liczy na to, że staranne działanie da efekt w postaci celu, który go interesuje, ale jeżeli nie zostanie to osiągnięte, nie oznacza, że można stwierdzić, iż pracownik nie wywiązał się z umowy).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl e719c8288f

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Trzeba..., s. 50),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Andrzej Chojnacki (rysunek, s. 57),
grafik z wieloletnim stażem, fotograf. Z naszą redakcją związany od 12 lat. Twórca wielu okładek „Tygodnika Solidarność".

Krzysztof Karnkowski (Gdy..., s. 10),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Monika Małkowska (Uzależnieni..., s. 61),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Sebastian Reńca („Poważna..., s. 62),
pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Świadek" ukazała się w roku 2021 (wydawnictwo LTW). Jest to historia dziennikarza śledczego próbującego rozwikłać zagadkę tajemniczego zaginięcia swego przyjaciela, który w latach 90. badał m.in. w sprawę strzałów kopalni „Wujek".

Piotr Skwieciński (2029..., s. 34),
jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

Konrad Wernicki (La Casa de..., s. 42),
nasz redakcyjny specjalista od marketingu, nowych technologii, mediów społecznościowych i nowych rewirów polskiej pracy. Pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2017 roku.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl e719c8288f

REPUBLIKA

Nowoczesne show publicystyczne od pierwszego odcinka podbiło serca widzów Republiki w luźny i humorystyczny sposób omawiając aktualne tematy społeczno-polityczne. Oglądaj **Przyjaciół REPUBLIKI**.

PRZYJACIELE REPUBLIKI

PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK
7:05

SOBOTA-NIEDZIELA
8:05

w Republice



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

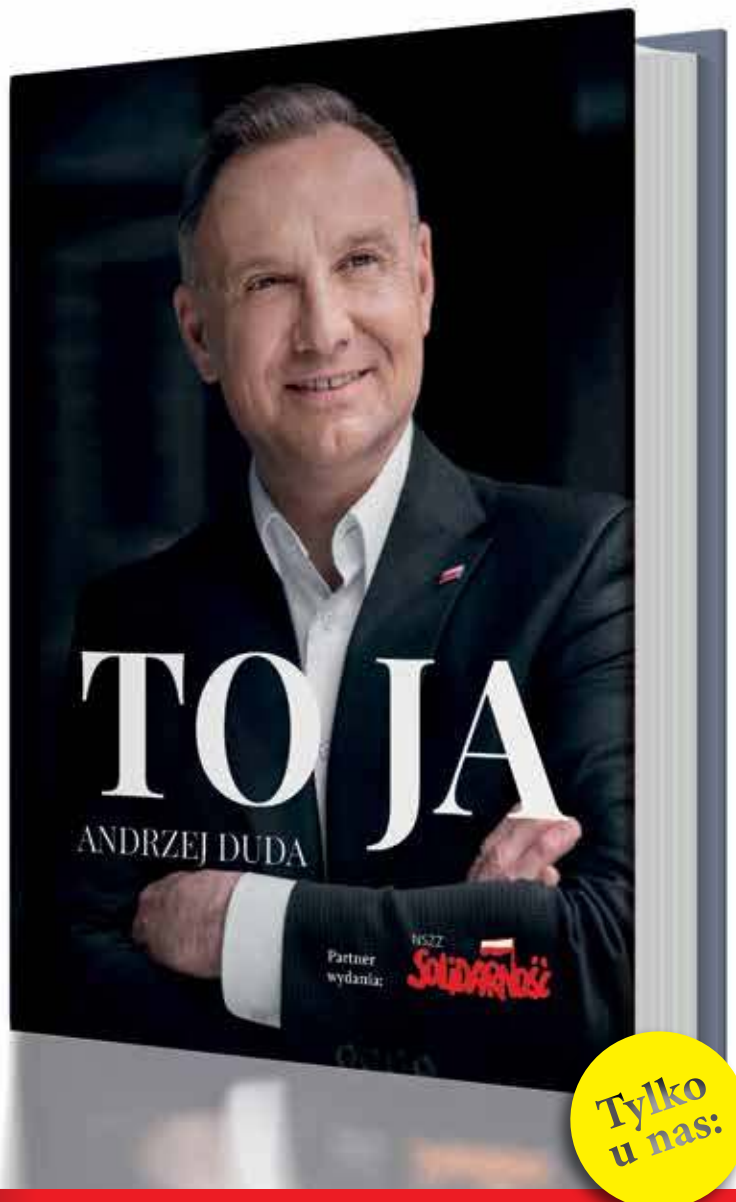
SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl e719882881

Pierwsza taka opowieść o życiu i prezydenturze

Wydanie specjalne książki Andrzeja Dudy



- Edycja specjalna przeznaczona dla członków i sympatyków NSZZ „Solidarność”.
- Ekskluzywna publikacja:
  - twarda, lakierowana oprawa,
  - ponad 250 kolorowych ilustracji,
  - 672 strony.
- Dodatkowy rozdział o Solidarności dostępny wyłącznie w tym wydaniu.
- Fotografie związane z Solidarnością.
- Słowo wstępne przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy.

Tylko u nas:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl e719c8288f